

PRZE KRÓJ



Po 27 latach pracy we francuskich kopalniach cały majątek Józefa Rogozińskiego mieści się na jednym wózku. Oboje z żoną liczą po 74 lata i ostatek życia pragną spędzić w Kraju. (Patrz reportaż na str. 8—9—10). Fot. Władysław Sławny

EDMUND OSMĄNCZYK: Na granicy Hiszpanii
ZOFIA NAŁKOWSKA: Charaktery
BETTY MAC DONALD: Jajko i Ja
WIECH: Król kartki pogubił

**CZY
TEL
NIK**

Nr 125
31 VIII — 6 IX 1947
CENA 25 ZŁ
PRINTED IN POLAND

PRZE KRÓT

tragedia



Prezydent Bolesław Bierut i gen. Spychalski ogląda projektowane modele mającego powstać mostu „Śląsko-Dąbrowskiego” w Warszawie. Zamku Królewskiego oraz Wieży Bohaterów Starej. (Fot. Film Polski)

ROCZNICA REFORMY ROLNEJ



6 września mija 17 laty odkąd dzięki reformie rolnej chłop polski stał się pełnoprawnym gospodarzem swej ziemi i swej gospodarki. (Fot. Baranowski)



Koncerty zespołu radzieckich laureatów Festiwalu Muzycznego w Pradze cieszyły się u nas ogromnym powodzeniem. Specjalne uznanie zdobyła śpiewaczka Leokadia Maslennikowa. Widzimy ją na zdjęciu w życiu „prywatnym”



Polskę odwiedziła druga z kolei wyprawka amerykańskich intelektualistów złożona z profesorów i docentów. Wyprawki te zorganizował „Orbis”. Pod przewodnictwem prof. Devisa goście zwiedzili Kraków. (Fot. Zieliński)



Po zakupieniu przez „Lot” pięciu nowych czteromotorowych samolotów francuskich „Languedoc” uruchomiona została regularna komunikacja powietrzna między Warszawą a Paryżem. Na zdjęciach: Nowozakupione modele „Languedoc” na „Okęciu” przed startem do Paryża oraz w locie. (Fot. W. Nowierski)

BRYGADA JUGOSŁOWIAŃSKA



Młodzież Jugosłowiańska pracująca przy odbudowie Warszawy — w wolnych chwilach bawi się razem z polskimi kolegami przy ognisku



Egzotyczna grupa młodych Kopańskich wracając do swej ojczyzny z Festiwalu Młodzieżowego w Pradze przejeżdżała przez Warszawę (Fot. „Czytelnik”)

PROCES NIELEGALNEGO PODZIEMIA TRWA



Szef propagandy WIN Langner w czasie okupacji spoządził dla gubernatora dystryktu krakowskiego Otto Wächtera Ex-libris: Wieżę krakowskiego ratusza na tle sztandaru ze swastyką (Fot. J. Zieliński)



Główni oskarżeni (od lewej): Komendant WIN Niepokólczycki i przywódca PSL Mierzwia na ławie oskarżonych

W krzyżowym ogniu pytań prokuratora, ujawnia się w przebiegu procesu krakowskiego sieć szpiegowskiego aparatu oskarżonych. Na światło dzienne wychodzą wielorakie nici i węzły, które łączyły WIN z PSL i WRN. Obok tych momentów ukazuje proces moralny rozkład i bezideowość ludzi, którzy kierowali robotą nielegalnego podziemia i wywiadu. „Pan Jagodziński — pisze do jednego z oskarżonych Zejmian (Niepokólczycki) — generał Kopański został powiadomiony o podjęciu przez was 46 tys. dolarów. Właściwy czynnik polecił mi podjąć te pieniądze od was. Wydanego w tej sprawie rozkazu nie wykonaliście, mimo wielokrotnie wyznaczonych przez was terminów wykonania. Gen. Kopański zostanie powiadomiony o tym, że zatrzymaliście 46 tys. dolarów. O całej sprawie zostanie powiadomiony teren. W wypadku dywersji z waszej strony w stosunku do organizacji, lub mojej osoby (jak to już miało miejsce) zastosujemy w stosunku do was środki obronne”. Jagodziński był to pseudonim Tumanowicza, szefa wywiadu wojskowego WIN, majora, który pełnił swoje funkcje także i w czasie i po otrzymaniu powyższego listu! Tak wyglądały kulisy „ideowej” działalności podziemia.

N

a ścianach gabinetu wisiały pyszne płótna. W szklanych gablotach stała stara porcelana. W pewnej chwili odezwał się właściciel tej kolekcji:

— Przed paru miesiącami wyszło rozporządzenie o konieczności rejestrowania płócien starszych, niż rok 1830. Do dziś dnia jeszcze swoich rzeczy — tu zrobił ruch ręką — nie zarejestrowałem. I możliwie najdłużej nie rejestruję! Wiem wprawdzie dobrze, że w tej chwili rząd nie ma intencji zabrania mi ich; wiem też, że dbałość o stan narodowego majątku kulturalnego wymaga, by skarby były rejestrowane. Na przykład w razie wojennej katastrofy mogłyby zginąć ja i moi wszyscy, zbiory mogą być wywiezione za granicę — a przecież później musi się naród o nie spowrotem upomnieć! Ale, wie pan, ja to wszystko rozumiem, ale... nie mam zaufania do rządu, po prostu boję się tej rejestracji...

I tutaj rozmówca mój, człowiek pozytywnie nastawiony do istniejącego systemu społecznego, mimo woli poruszył jeden aspekt skomplikowanej sprawy narodowej.

Trzecia Rzeczpospolita miała start nie łatwy. Rodziła się w bólach rozdarcia społeczeństwa między conajmniej dwie — a w istocie znacznie więcej — tak zwane „orientacje”. Trudności polityczne tamtych czasów były ogromne, a ich dobitnym i tragicznym wydzwiękiem jest choćby ostatni proces krakowski Niepokólczyckiego i tow. Nie wszyscy przeciwnicy reżimu zeszli oczywiście na szlaki karalnego podziemia. Niemniej między poszczególnymi grupami społeczeństwa a rządem były duże różnice.

Postępowanie niższych organów wykonawczych — nie zawsze przysłało rozkładaniu tych różnic — bądźmy szczerzy! — na ogół wbrew intencjom najwyższych czynników politycznych i rządowych. W rezultacie powstał przykry stan, iż między rządem a częścią społeczeństwa długi czas nie było należytego wzajemnego zaufania. Można o tym już pisać w stanie przeszłym, ale z wyraźną uwagą, że i dziś jeszcze sytuacja nie jest zadowalająca. Cóż chcecie, toć minęło dopiero dwa i pół lat! Mój rozmówca był właśnie typowym wytworem tej właśnie atmosfery.

Jak się rzekło — Trzecia Rzeczpospolita miała start nie łatwy. Prócz niemałych trudności politycznych — obciążona została od razu piekielnym spadkiem pookupacyjnym w postaci zdemoralizowania gospodarczego społeczeństwa polskiego od najwyższych do najniższych jego warstw. Ludziom, którzy zasmakowali w łatwym zarobkowaniu, sankcjonowanym przez opinię publiczną — nie łatwo przychodziło zmienić system tożsacenia się. Tym bardziej, iż trudne warunki gospodarcze panujące na całym świecie sprawiają, iż łatwiej jest dziś (jak to zresztą bywa i w czasach normalnych), zdobywać pieniądze drogą spekulacji czy łapówek niż normalnej pracy. Nie wolno zamilczeć, że walkę tę z demoralizacją społeczeństwa utrudnia fakt, iż płace pracownice jeszcze ciągle nie stoją w odpowiednim stosunku do potrzeb człowieka i do cen artykułów przemysłowych dobrego gatunku.

Trzecim wreszcie aspektem problemu jest akcja wrogich reżi-

mowi sił politycznych, które w dalszym ciągu podtrzymywały opinię o ideowym znaczeniu sabotażu gospodarczego. „Usprawiedliwienie” tego rodzaju chętnie witali ci wszyscy, którzy nie mogli, czy nie chcieli wydybyć się z zartowego kręgu okupacyjnej demoralizacji. W rezultacie zwykły aferyzista traktował swą „pracę” nie tylko jako zabezpieczenie finansowe, ale jako działalność polityczną.

Trzy te nurty: brak zaufania, demoralizacja okupacyjna i wrogi sabotaż, zbiegłszy się razem sprawiły, iż doszliśmy do stanu niebezpieczeństwa narodowego, przejawem czego są nieustanne procesy o korupcję i kradzieże dobra publicznego, sprawa cyny, sprawa papieru, i tyle, niestety, tyle innych. Ten przeraźliwy ścisk za kratkami, panujący obecnie w aresztach i więzieniach jest przerażający i w tej skali dla narodu naszego zupełnie nowy.

Do rządu i jego czynników administracyjnych należy niewątpliwie takie postępowanie z obywatelami, by płaszczyzna wzajemnego tarcia była możliwie najmniejsza, by język był wspólny wszystkim, by — jednym słowem — właściciel kolekcji obrazów nie był zaniepokojony o los swego zbioru. Nie to jest jednak w tej sprawie najważniejsze, te nieufności wyleć się czas, i to szybko.

Nie chodzi mi również o stronę polityczną zagadnienia. Antyrządowe i antypaństwowe motywy znajdują się u prokuratorów niż u niej

podpisany. Postępowanie organów skarbowych i sądowych doprowadzi do tego, że złodzieje będą należycie karani, że ustaną na koniec milionowe kradzieże, które rządu nie wyrwają, ale które walcie przyczyniają się do tego, iż Polska odbudowywać się będzie parę lat dłużej i że jeszcze jedno pokolenie żyć będzie w państwie, które ma racjonalnych dysproporcjach gospodarczych.

Sprawa jednak staje się wyjątkowo pilna i zasadnicza, gdy idzie o zdrowie moralne narodu. Zmieniają się warunki i systemy gospodarcze, ale jad złodziejstwa, przekupstwa, hochsztaplerki — raz wszczępiony w duszę narodu, i nie uleczony, przechodzić będzie z pokolenia na pokolenie, drażnić się będzie coraz bardziej, coraz bardziej rozkładać naszą narodową substancję. Na koniec zginiemy.

Kontynuowanie dalej tego systemu „gospodarczego” jaki zaszczepiony nam został okupacją niemiecką, nie jest tyle postępowaniem antyrządowym, antyrepublicanym — co przede wszystkim skierowanym przeciw naszemu dzieciom i wnukom. Mogą istnieć, rozwijać się narody wyrachowane i pozbawione skrupułów w interesach — ale zginie naród, który „kant” i obojętnie przepisu uczynił systemem swego życia społecznego.

Prokurator sądów państwowych zajmie się przestępstwem przeciw państwu. Zapadać ostre wyroki; skutek ich tak długo będzie ograniczony, jak długo same społeczeństwo nie przezwycięży w sobie postawy pasywno-wyrozumiałej wobec elementarnej klęski draństwa. Sprawa bowiem jest antynarodowa, antyludzka. Musi tu wystąpić nauczyciel, ksiądz, działacz społeczny, publicysta. Muszą wystąpić rodzice. Nie wolno milczeć. A można wynajdywać obiektywnie przyczyny tego stanu rzeczy, ale nie wolno nam się nań zgadzać. Nie dlatego innego — tylko przez wzgląd na nasze dzieci i wnuki.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

EDMUND OŚMAŃCZYK NA GRANICY HISZPANII

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

GORĄCO!!!

Wjeżdżając kolejką zębatą na najwyższy szczyt baskijskich Pirenejów — La Rhune — rozchlapujemy nogami strumienie potu, spływające po podłodze pochylonego wagonu. Francja bije rekord tego lata najwyższych upałów, jakie zanotowano w tym kraju od roku 1871. Ręciowy słupek termometru dobiegł już 60. (sześćdziesięciu!) stopni Celsjusza w słońcu i nadal, choć już minimalnie, posuwa się w górę. W otwartych wagonikach kolejki nie ma bodaj centymetra kwadratowego cienia, więc z zabawnym pluskiem opadają na podłogę kropelki potu, ściekające z nosów, bród, czoł, nóg i rąk kilkudziesięciu pasażerów, przylepionych do drewnianych ławek. Koszule i bluzki przylgnęły lekko do rozgrzanych ciał i w miarę, jak wznosimy się w górę — podróż trwa trzy kwadranse — na zwilgotniałych jedwabiacz, popelkach, płótnach ukazują się, przesiąkłe przez materię, opalizujące w słońcu, kropelki potu, tworzące po dalszych kilkunastu minutach żółtawej jazydy cieniutkie, perliste strumyczki, które z zabawnym wahaniem spływają wzdłuż nóg na podłogę.

Otyły, siedzący przed nami Holender, napróżno próbował ocierać się chusteczką, którą następnie z coraz słabszą energią starał się wyżyłować na swe pociemniałe od wilgoci tenisowe pantofle. Zrezygnowany rozwiesił chusteczkę na otoczonej wiankiem świeżących włosów łysinie, poczem w zakłopotaniu, a być może w nerwowej złości, zwał mocno pięści i ze zdumieniem spostrzegł, że oto z własnych dłoń wyciska dobrą szklankę mętnego płynu, który spadając na podłogę opryskuje sąsiadów.

Zjawisko było tak niezwykle, że mdlejący od upału wycieczkowicze cucili się ciekawością, ileż jeszcze wody wypłynie z rozszerzonych bezwstydnie porów, siedzących naprzeciw towarzyszy niedoli. Oglądanie samego siebie wymagało energii, ruchów głowy i szyi, nie mówiąc już o tym, że działalo przynębiająco. Natomiast bliźni, siedzący vis à vis rozweselali swym widokiem obołate serce, nie bowiem dla beznadnego nie jest tak kojące i miłe, jak widok cudzej, śmiesznej beznadności.

Kilkanaście metrów od szczytu, tuż przy wypalonym bunkrze niemieckim i zwałisku żelastwa, będącego przed kilku la-

ty najnowocześniejszym sześciolufowym działem przeciwlotniczym, wypłynęliśmy ocięzale z kolejkowej łaźni. W wypalonym bunkrze baskijski szmuglerzy sprzedawali hiszpańskie pomarańcze, brzoskwinie, czekoladę i papierosy, no i oczywiście nadzieję spragnionych — chłodzące napoje, niestety mdlisto-ciepłe, bowiem z dolin wieziony lód roztopił się całkowicie w rozpalonej słońcem kolejce. Po kilkunastu kamiennych stopniach wdrapujemy się więc nadal spragnieni wody i cienia, na odkryty płaski szczyt i — mimo, że słońce pali tu już podzwrotnikowym żarem — przystajemy na długie chwile w o-niemieniu.

GLOBUS NATURALNEJ WIELKOŚCI

Wibrujące od gorąca powietrze układa się nad krajobrazem w roztańczone świetliste smugi i ludzko to zbliża, to oddala trojaki wokół nas horyzont — oceanu, baskijskich gór i bajon-skiej doliny. Rozległość widoku, rozciągającego się wokół nas, ma kształt elipsy o średnicy ponad dwustu kilometrów! 100 kilometrów Hiszpanii! 100 km Francji! Za nami ciągnące się w dal grzebienie Pirenejów. Przed nami stoki gór, zbiegających w seledynowy u brzegów, a granatowy coraz dalej ocean! Wybrzuszony, bodaj trzystukilometrowej długości łuk atlantyckiego horyzontu, potwierdzający swoim wygięciem oceanicznych mas wód kulistość naszej ziemi, przypomina mi marzenie lat dziecińczych — globus naturalnej wielkości! Mieć taki globus w domu! A przynajmniej w szkole, aby zawsze móc sprawdzić prawdziwość najfantastyczniejszej dla mnie w latach szkolnych nauki geografii. — Trudno u-wierzyć w ogrom i bogactwo świata i pokochać jego niezmiernie piękno w zamkniętej szkolnej klasie, przyglądając się małemu dyktastemu globusowi, osadzonemu na skrzywionej osi i poprzeronemu trudnymi do wymówienia nazwami, których się trzeba uczyć na pamięć, jak martwych łacińskich słówek. Skurczony do szkolnych globusów świat maleje w wyobraźni, a miejsce jego zajmuje wyolbrzymiona dalszym wychowaniem ptolomeuszowa płaska karta „własnego świata” — prowincji, kraju, czy w najlepszym razie ładu. — Historyczne skutki tej ślepoty wychowawczej znamy aż nadto dobrze. I nie

masz innego wyjścia, jak tylko zrewolucjonizować młodzież, aby żądała dla siebie w domu, w szkole i w urzędzie globusów naturalnej wielkości!

Płynący z nieba żar podniecił moją wyobraźnię. Nic dziwnego. La Rhune jest idealnym miejscem do nauki geografii. Odległa o kilkanaście kilometrów od brzegów Atlantyku wznosi się 900 metrów nad poziom morza i stanowi w baskijskiej części Pirenejów najwyższy punkt graniczny między Hiszpanią a Francją.

Jeśli spojrzeniem pobiec na wschód wzdłuż piaszczystego brzegu Oceanu, to oto jak na dłoni ciągnie się baskijskie wybrzeże od Hendaye poprzez Saint Jean de Luz, Biarritz aż po zamgloną Bayonne. Od morza w głąb kraju wznosi się sfalowany podgórski krajobraz, pełen zieleności drzew, złota dojrzewających zbóż i czerwieni i niebieskości baskijskich wiosek i miasteczek. Piękny, uroczy kraj, zdumiewający kontrastami oceanu, Pirenejów i szerokiego falistego podgórzia. Lecz wystarczy odwrócić się o 180 stopni, a kontrast wzmagą się. Oto przed nami górzysta, bezleśna Hiszpania. Nagie, kamieniste wzgórza mają barwę ołowiu, poplamionego żółtawą zielenością pastwisk, spalonych słońcem starokrzewów, karłowatej drzewiny. Równoległe grzbiety gór zasłaniają leżące w dolinach hiszpańskobaskijskie wioski, tak, że kraj wydaje się zaklęty w kamienie, bez ruchu, bez życia. Tylko tam, gdzie morze wdziera się srebrnozielonym pasem w skalisty ląd, widać kształty domostw i kościołów, ożywiony ludzkim osiedlonym krajobraz. To San Sebastian. A jeszcze dalej na zachód, na samym krańcu horyzontu znacząca się sylwetka jakiegoś dużego osiedla, to bohaterkie miasto walczących o swą niepodległość hiszpańskich Basków — Guernica!

CHOKO TTIKI

Stojąc na szczycie La Rhune, gdy współtowarzysze moi zsuwają się kilka metrów w dół po zachodnim stoku góry z okrzykiem „my już jesteśmy w Hiszpanii!”, przypominam sobie że niewiedząc, na mapach tylko wytyczona granica, dzieli w tym miejscu właściwie nie Hiszpanię od Francji, lecz baskijską Republikę Euzkadi od baskijskiej prowincji Francji. Nim o tym ciekawym rozróżnieniu szczegółowo opowiem, wspomnę jeszcze, że nie wytrzymałem pokusy, choćby symbolicznego przekroczenia granicy i zsunąłem się w ślad za towarzyszącymi kilkanaście metrów w dół, aby stanąć na ziemi objętej nieżyczliwą władzą gen. Franco. Chcąc dojść jednak do pierwszych osiedli, trzeba byłoby, zszedłszy w dół, wejść na następne górskie wzniesienie, bacznie przez Hiszpanów strzeżone, i dopiero stamtąd zsunąć się do zamieszkałej doliny. Wyprawa długa to i niebezpieczna, bowiem po ostatnim czerwcowym referendum, w którym Baskowie hiszpańscy wypowiedzieli się obywatelią większością głosów przeciwko generałowi Franco, falangiści gęsto obstawili granicę, aby wychwytywać politycznych emigransów, wzywających instrukcje z Paryża, gdzie mieszczą się rządy Republiki Hiszpańskiej i Republiki Baskijskiej, zwanej Euzkadi.

Przedziwny to naród ci Baskowie. Nauka dotąd nie odkryła tajemnic ich pochodzenia, jeśli odrzucić legendarną hipotezę, iż jest to resztką uratowanych cu-

dem mieszkańców Atlantidy. Od niepamiętnych wieków Baskowie zamieszkują górzysty kraj nad Oceanem, rozdzielony Pirenejami. Po stronie hiszpańskiej zajmują prowincję Biscaya, Guipuzcoa Alava i Navarra, po stronie zaś francuskiej sięgają po Bayonne. Zarówno ci we Francji, jak i ci w Hiszpanii mówią o sobie z dumą, że są narodowością baskijskiej i używają języka, którego filologowie nie potrafili wyprowadzić z żadnej rodziny znanych w świecie mów ludzkich. Noszą dziwne tajemnicze nazwiska, wymawiane tak, jak się je pisze, w rodzaju Choko Ttiki, Etscheverrygaray, Txiki, Elissamburu, Jaureguiberry. O trudności języka niechaj świadczą następujące zdanie: „Ba dakizu ez da errecha, bainan ikasten ahal da, lehenbizkorik behar dana nahikunde da”, co znaczy: „Język baskijski nie jest łatwy, ale można go się nauczyć, jeśli się ma silną wolę”. — Zdania tego, mimo wysiłku woli, nie zapamiętałem i uczyniłem dobrze, zapisując je w notecie, inaczej nie mógłbym przytoczyć powyższych słów sympatycznego rybaka Choko Ttiki.

Choko Ttiki jest Baskiem francuskim, posiada pełną wolność i nie myśli o rozszerzeniu formalnej Republiki po Bayonne. Czuje się jednak dumny ze swych braci z hiszpańskiej strony i dopomaga im z całego serca. Uciekinierzy „stamtąd” znajdują zawsze otwarte domy baskijskie po wschodniej stronie Pirenejów. Na Atlantyku, rybacy z obu baskijskich stron spotykają się przy wspólnych połowach. Przed referendum — opowiada Choko Ttiki — woziliśmy im na Ocean paczki gazet i ulotek. Teraz przyjeżdżają z nimi strażnicy hiszpańscy, którzy pilnie baczą, czy nie wymieniamy podejrzanych paczek. Górskimi więc drogami, nocą, idą przez Pireneje karawany Basków, przenoszących polityczną bibułę.

Choko Ttiki tłumaczy mi z „Euzko Dave” treść ostatniego oświadczenia prezydenta Aguirre, który w Paryżu powiedział prasie, co następuje:

„Kiedy Wielka Brytania zdecydowała się odwołać ambasadora swego z Hiszpanii, miałem dłuższą rozmowę z dr. Jose Giral, ówczesnym szefem hiszpańskich republikanów oraz z pewnym wybitnym dyplomata angielskim. Ten ostatni prosił nas o jasne wypowiedzenie się, w jaki sposób pragniemy, aby usunięty był rząd gen. Franco. Dr Giral odpowiedział, że nie chcemy ani wojny cywilnej ani rozlewu krwi. Pragniemy usunięcia gen. Franco poprzez sankcje ekonomiczne i powołanie rządu koalicyjnego, złożonego ze wszystkich ugrupowań emigracyjnych. Żądamy zatem wolności słowa, wolności prasy oraz wprowadzenia praworządności. Następnie żądamy wolnych wyborów, które nie byłyby kontrolowane przez mocarstwa, lecz przez grupę małych, niezainteresowanych narodów, lub też przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Takie były poglądy dr. Girała, do których ja dopowiedziałem jedno słowo: Amen”.

„Ponieważ my Baskowie dążymy do zlikwidowania prześladowań i nietolerancji, dlatego dziś łączymy się politycznie z republikanami hiszpańskimi. W przyszłości jednak, gdy cel główny zostanie osiągnięty, uczynimy słusznie, jeśli we wszystkich sprawach, które dotyczyć będą naszego życia administracyjnego, reform, obyczajów, filozofii życiowej, będziemy prowadzić dalej

walkę już sami w Republice Euzkadi”.

Choko Ttiki pochwała mądrość prezydenta Aguirre.

— Widzisz — mówi do mnie — Baskowie muszą pozostać sobą. Żyjemy w świecie, który stale się dzieli, to narodowościami, to religiami, to ideami. My nie chcemy się dzielić, skoro od niepamiętnych czasów wszyscy jesteśmy sobie równi i każdego człowieka uważamy za brata, jeśli nam nie grozi i nie chce nad nami panować. Jesteśmy gotowi wspólnie walczyć z każdym przeciwnikiem każdej przemocy, ale potem chcemy żyć po swojemu, bo inaczej przestaniemy być ludźmi wolnymi. Nas wychowały góry i ocean. W górach i na morzu nie ma biednych i bogatych, nie wolników i panów, lecz są tylko ludzie, którzy muszą sobie pomagać, bo inaczej zginą. Ludzie dolin zawsze się dzielą. Nie grozi im natura przyrody, więc ulegają niezagrożonej naturze ludzkiej, i pysznia się nad innymi, i stąd bogaci nie widzą biednych, mądrzejsi nieuczonych, zręczniejsi upośledzonych...

Choko Ttiki ma piękną willę nad morzem, której połowę wynajął na lato jakimś zamożnym Amerykanom, drugą połowę oddał uciekinierom z Guernicy, sam zaś mieszka w drewnianym domu, gdzie w ziemie składa sieci i rybaczkie przybory. Chodził w niebieskich sandałach z płótna, z podszewką z plecionego sznurka (po baskijski zwą się „oinetakoak”), niebieskich drelichowych spodniach, pasiastej, otwartej kószuli, czarnej cienkiej marynarki, no i oczywiście w nieodłącznym dla Baska berecie. („Kapelusz — mówi Choko Ttiki — miałem tylko raz w życiu, kiedy szedłem do ślubu, a i to nie założyłem go na głowę, tylko cały czas trzymałem w lewej ręce”).

„W POLSCE NIE MA JUŻ POLAKÓW”

Tegoż dnia, w Saint Jean de Luz, przechodząc nad mołem, ujrzałem rybaka lat siedemdziesięciu kilku, którego nie tylko zwyczajny baskijski strój, ale i wspinała wiatrem opalona głowa, po baskijski o orlim góralskim profilu, przypominała mi postać Choko Ttiki.

— Popatrzcie — zawołałem po polsku do moich towarzyszy — jaki podobny.

Nie dokończyłem zdania, gdy łowiący ryby Bask wypowiedział, podmalowaną francuskim akcentem polszczyzną, te słowa:

— A to państwo Polacy?

— A Pan? — spytałem zdumiony.

— Moi, je suis français, mais aussi polonais. J'ai deux patries: La France et la Pologne.

— A więc Pan nie jest Baskiem, cóż więc Pan tu robi w tym stroju?

— Dożywam moich dni...

— Czemuż nie w Polsce?

— W Polsce?! — Obruszył się starzec. — Tam przecież Polaków już nie ma!

Zaskoczeni słuchaliśmy. Już w języku francuskim wygłaszałnej tyraady przedziwnego „Baska”, który opowiadał o swym ojcu generale, powstańcu z 1863 roku, o swym urodzeniu się we Francji, o szkole polskiej „Aux Battignolles”, do której uczęszczał za czasów Gambetty, o Polsce, w której nigdy nie był, a znał tylko z opowiadań ojca, o carskiej Rosji, która zagarnęła rządowe majątki i wszystkich prawdziwych Po-

laków („Les vrais Polonais”) pognęła na Sybir. Nieliczni tylko uratowali się i żyli później bądź na emigracji, bądź po pierwszej wojnie jeszcze w Kraju. Ale w drugiej wojnie i ta resztką zginęła i dziś już w Polsce nie ma Polaków! Zaprotestowaliśmy, powołując się na fakt istnienia nadal Państwa Polskiego. Starzec uśmiechnął się dobrodusznie, poczem zmiażdżył nas niespodziewanym argumentem:

— No a jakżeż nazywa się prezydent obecnej Polski? Jak chłop. Prawda? Voilà! Toż więc nie Polak. Widać to przecież po chłopskim nazwisku!

— Więc jakto, chłop nie jest Polakiem według pana? — zapytaliśmy zdumieni.

Starzec roześmiał się tylko:

— Za czasów mojego ojca chłop był gorzej traktowany od bydła szczonego przez psy. To nie byli Polacy! Nie mogą więc być Polakami. Prawdziwi Polacy pochodzili ze szlachty, a ta już w Polsce wyginęła.

Nie dyskutowaliśmy dalej. Przerzuciliśmy rozmowę na tematy bardziej spokojne, niedrażniące pełnego ferworu starca. Zaprzyjaźniliśmy się nawet z nim w następnych dniach. Jego poglądy społeczne na świat jak skamielina zachowały obraz połowy dziewiętnastego wieku, traktowaliśmy go więc jak dziwny zabytek, żyjący poza czasem i historią.

To co mnie tylko niepokoiło, to było zewnętrzne podobieństwo starca do Choko Ttiki. Ten sam wiek, ta sama fizyczna postawa, ta sama godność w twarzy, a nawet z rzeczy wewnętrznych to samo u obu gorące umiłowanie wolności, a przecież cóż za różnica w treści wewnętrznej tych ludzi. Nasz znajomy z mola Saint Jean de Luz, tego samego moia, z którego w r. 1940 odpływali do Anglii Jacobowsky i pułkownik Umieralski, nie był winien swej treści wewnętrznej. Nie wyszedł z narodu, któryby od wieków posiadał mądre baskijskie pojęcie wolności obejmujące cały naród. Historia, emigrancstwem przymusowym ojca, wyrzuciła naszego rozmówcę poza burzę własnego kraju i zmusiła do ciężkiej walki o byt wśród obcych, wśród których wyróżnić się można było, w obawie przed deklasacją, jedynie romantyzmem przeszłości. I ta przeszłość, dlatego, że własna, stała się bezkrytycznie świętą. Wszystko, co niszczyło tę przeszłość — czas, przemiany społeczne i polityczne — stawało się wrogiem, obce, niepolskie. I oto głupio ukanonizowana wolność jednej warstwy stała się w wyobraźni starca kamieniem węgielnym Polski. W miarę, jak kruszał jego kamień, ginął dlań naród Polaków. A jeden z ostatnich, potomek generała K. z powstania 1863 roku dożywa dni wśród małego, wspaniałego narodu Basków, których uznaje i szanuje, łatwiej bowiem uznać za równych ludzi obcych, niż bliskich.

Niezwykła rozmowa z Jeanem de K., której autentyczność poświadczają może osób kilka, jeszcze bardziej umocniła mój szacunek do rozumiejących wolność Basków, którzy potrafili nawet życiu religijnemu nadać jego czystą treść społeczną, a życiu społecznemu głęboki sens religijny..

WKROTCE
DOKOŃCZENIE REPORTAŻU
EDMUNDA OSMANOWICZA
Z NAD GRANICY HISZPAŃSKIEJ
I. NARÓD NA „TY”

Indonezja krwawo walczy o swą niepodległość. W Burmie patrioci zamordowali ośmiu ministrów rządu współpracujących z Wielką Brytanią. Indie w dn. 15 sierpnia 1947 r. uzyskały statut dominialny i podzieliły się na dwa państwa: Hindustan i Pakistan. W ten sposób w dziejach kolorowych narodów świata otwiera się nowa karta. Warto więc o ludach tych wiedzieć coś więcej ponad to co uczą w szkole...

TONGA WSPY (Przyjacielskie), archipelag w Polinezi, między 18 i 23° szer. pld. oraz 173 i 177° dług. zach., obejmuje 32 większe i ok. 150 mniejszych wysp (razem 997 km² z 27048 mieszkańcami). Wyspy mają tropikalny i zdrowy klimat oceaniczny i bujną szatę roślinną. Stolicą jest Nukualofa. Ludność polinezyjska, wyznaje chrześcijaństwo, a trudni się rolnictwem. Wyspy odkryte w 1643 przez Tasmana, zostały zbadał bliżej w 1773 i 1777 przez Cooka, od 1893 znajdują się pod protektorem Anglii

(Wielka Ilustrowana Encyklopedia Powszechna „Gutenberga”. Tom XVII. Str. 171)

W powodzi trosk codziennych przeczyliśmy wybitne zdarzenie w polityce międzynarodowej: jubileusz sławnego, a mało w naszym zaściankowym kraju popularnego królestwa Tonga.

4-tego grudnia roku ubiegłego stolica państwa Tonga, Nukualofa, rozbrzmiewała salwami strzałów armatnich, śpiewami i okrzykami radosnymi całej...tysięcznej ludności archipelagu. Tego dnia bowiem, równo przed stu laty, po półwiekowych wojnach cywilnych i po śmierci ostatniego wodza wyspy Tongatapu, ciętych wnuk jego przywdział na swe skronie koronę Królestwa Zjednoczonych Wyp Tonga i rozpoczął panowanie pod imieniem Jerzego Tupou I-ego. Monarcha ten zmarł dopiero w roku 1893, w wieku lat 96, potwierdzając raz jeszcze zasadę długowieczności, jaką szczyliły się wszystkie dynastie Pacyfiku, na przykład dynastia Pomare na Tahiti i Kamehamehów na Hawajach.

Obecna królowa Jej Majestat Pani Salote Tupou, urodziła się w roku 1900-tym, roku, który widział równocześnie narodzenie się Traktatu Przyjaźni, łączącego Tonga z Wielką Brytanią. Traktat ten zresztą był już

tylko formalnym usankcjonowaniem węzłów, łączących od dawna oba królestwa. Węzły te zostały nawiązane już w XVIII-ym wieku, w czasie podróży Cooka. Odkrywca ten nazwał wyspy Wyspami Przyjacielskimi, ze względu na serdeczne przyjęcie, jakiego doznał u tubylców. Znany nam nawigator okazał się jednak nieco gorszym psychologiem, niż żeglarzem, gdyż, jak się później okazało, w czasie festiwalu wy-

Tonganie, obok Maorysów i Samoańczyków, uważani za najnieinteligentniejszych wyspiarzy Pacyfiku, łatwo przyszło im sobie zdobyć cywilizację i czerpić z niej pełną dłoń. Auta, telefony, radio, motocykle są w masowym użyciu. Swoim bujnym przyrostem naturalnym zaprzeczają teoriom o wymieraniu ras kolorowych, po zetknięciu się z Europejczykami. Chrześcijaństwo, po paru nieudanych próbach, zostało



Gdy we wrześniu roku 1939-ego Niemcy napadli na Polskę, królowa, nie zmuszona przez nikogo, wypowiedziała im wojnę i rzuciła na szalę całe zasoby swego królestwa. W roku 1940-ym, królowa, jej ministrowie i cała tongańska służba cywilna, zdecydowali się oddać 10% swoich dochodów na rzecz Tongańskiego Funduszu Wojennego. Ten ostatni przy poparciu całej ludności Tonga, zakupił między innymi 3 Spitfire'y dla wojsk alian-

skich. Dla sformowanych oddziałów Tongańskich Sił Obronnych, miejscowe kobiety użyły mundury własnym kosztem. Przez rok cały żołnierze nie podejmowali żołądka, a koszały dla nich wzniesione zostały sumptem całego narodu. Oddział Tongańskich Wojsk Obronnych walczył u boku aliantów na Wypach Salomona. Wielu Tongańczyków otrzymało przy tym odznaczenia za waleczność.

Nic więc dziwnego, że w czasie uroczystości jubileuszowych w Nukualofa, Wysoki Komisarz dla Zachodniego Pacyfiku, w imieniu króla Jerzego VI-go wręczył królowej odznaki Wielkiego Krzyża Orderu Brytyjskiego Imperium. Przy tej okazji tysiące Tongańczyków zebrali się na „malae”, to jest forum publicznym stolicy. Naprzeciw trybuny oficjalnej ustawił się chór, złożony z 500 osób. 21 strzałów armatnich z H. M. S. Euryalus powitało przybycie królowej, po czym orkiestra wojskowa odegrała Hymn Tongański. Po wręczeniu orderu, królowa przemówiła do narodu, po czym na zakończenie chór odśpiewał oratorium „Alleluja” z „Mesjasza”.

„Niewiele chórów na świecie mogłoby lepiej odtworzyć wspaniałe arcydzieło Händla”, pisze obecnie przy tym korespondent „Przekroju”.

O ile nam wiadomo, Polska nie ma jeszcze stosunków dyplomatycznych z dworem Jej Królewskiej Mości, Pani Salote. Czas najwyższy gaffę naprawić, ym więcej, że chodzi o sojusznika w ostatniej wojnie, oraz o państwo, z którym na przestrzeni tysiącletniej naszej historii, nie mieliśmy zatargów, ani sporów granicznych.

WACŁAW ŚLABCZYŃSKI



OSTATNIA MONARCHIA PACYFIKU

danego na jego cześć, miał on być zamordowany, a dwa jego okręty przeznaczono na skromny początek floty tongańskiej. Jedynie nieporozumienia, wynikiem między stowarzyszeniami, ocaliły mu życie i pozwoliły

wprowadzone ostatecznie w roku 1845. Współcześni Tonganie odznaczają się szlachetnością, pokojowością i tradycyjną gościnnością. Tasman, który ich odwiedził przed Cookiem, stwierdził, że nie znalazł u

nocześnie jeden z krajów o najwyższym na świecie procencie dzieci nieślubnych. Pod tym względem kapłani napotykały na duże trudności w swojej pracy.

Dynastia tongańska jest jedną z najstarszych na



odpłynąć na Hawaje, gdzie spotkał się z większą już solidarnością tubylców.

Tongańczycy żywią do dziś kult dla Cooka, pokazując miejsca w których bywał, szczytą się pamiątkami, zostawionymi przez niego, a żołw, ofiarowany im w roku 1777 i żyjący do dziś — otoczony jest wciąż niemal religijną.

nich śladu żadnej broni. Jest to jeden z niewielu krajów, gdzie w największych kłopotach są władze więzienne, gdyż lokale ich stoją pustkami i nie mogą za żadną cenę znaleźć pensjonariuszów. Tonganie byli zawsze niestęchanie uprzejmi dla kobiet. Przyjacielskość Tongan posunięta jest tak daleko, że jest to jed-

święcie. Tradycja ustna przekazuje imiona królów na przestrzeni tysiąca lat. Obecna królowa szczyli się, że jej przodkowie panowali nad wyspami wcześniej jeszcze, nim na tronie polskim zasiadł Mieszko I.

Jeśli chodzi o stosunki polsko-tongańskie, to mamy względem królowej Salote poważne zobowiązania.



Wielki pałac Jego Królewskiej Mości pani Salote Tupou w Nukualofa



Wspaniała tropikalna dżungla na wyspach Tonga

W DRODZE NA FERMĘ

Po przejechaniu dwunastu mil autem, wsiedliśmy na prom, żeby przebyć pierwszy odcinek drogi do „pewnego obiektu”, który mieliśmy obejrzeć. Do naszej przyszłej kurzej fermi.

Dzień marcowy był błyszczący i krzepki, i przez całą długą drogę promem spacerowaliśmy z Bobem po pokładzie, podziwiając głęboką, niebieską wodę cieśniny Puget'a, modre niebo, gęsto zadrzewione ciemnozielone wysepki pływające sobie tu i ówdzie, i wielki łańcuch Gór Olimpijskich, rozciągających przed nami uprzejmie całą swoją śnieżną wspaniałość. Te Góry Olimpijskie nie mają żadnych miękkich krągłości, ani dzwonnej pulchności gór ze wschodu Stanów. Przypominają szerokokątnie, pełnopiersne boginie. Wyniosłe i nietykane, zadowolone z siebie, wiedzą, że wyglądają tak właśnie jak góry powinny wyglądać.

Z pomiędzy wszystkich natłoczonych pasażerów promu, tylko my zaczęliśmy świeżego powietrza, i oglądali rozciągający się krajobraz. Reszta podróżnych, biznesmeni, sprzedawcy, żony farmerów, robotnicy z mylnów i Indianie — albo nie ruszyła się ze swoich aut czy miejsc w autobusie, który wjechał na prom, albo skuliła się w gorących poczekalniach i czytała gazety, w fatalnym świetle. Wyglądali oni wszyscy bardzo niezachęcająco, i kiedy w pół godziny później weszliśmy z Bobem rzeško do środka, tupiąc zmarniętymi nogami i trzaskając drzwiami i wypatrując gorącej kawy — powitały nas ostre i nieżyczliwe spojrzenia. Wreszcie znaleźliśmy kawę, która okazała się zielonkawą, letnią lurą. Kiedy wchodziliśmy do sali Bob palił, co nie zdawało się nikomu przeszkadzać, ale kiedy wypiliśmy nieco kawy i ja zapaliłam papierosa, jedna z fermerek ściągnęła z głowy kapelusz koloru nawozu i zaczęła się nim gwałtownie wachlować, zanosząc się krótkim, ostrym kaszlem. Ponieważ mimo to paliliśmy dalej, druga kobieta wzięła gazetę i zaczęła nią wywijać tak dzielnie, że o mało co nie porzuciła nam na kolana filiżanek z kawą. Bob syknął do mnie: „Lepiej zgaś papierosa” a ja odsyknęłam: „Zafutuje, że nie mam wielkiego, czarnego cygara”. Bob popatrzył na mnie z wyrzutem, wyprowadził mnie na zewnątrz i wręczył mi małą broszurkę, którą z początku wzięłam za rozważania religijne, ale która jak się okazało opisywała okolicę, w której głębiach zaszła się nasza upatrzona ferma. Książeczka była napisana w samych superlatywach. „Góry Olimpijskie są największymi górami na kontynencie północno-amerykańskim... największe jodły na świecie... dwa miliony hektarów, z czego półtora miliona w stanie dzikim... Przylądek Flattery jest najbardziej na zachód wysuniętym punktem w Stanach Zjednoczonych... największa flota rybacka na Pacyfiku wypływa z Przylądka Flattery”. Mała książeczka obwieszczała, że tu oto można znaleźć naturę w całym majestacie, że prawdziwa okazja do bicia się do drzwi, że bogactwa naturalne błagają wprost, żeby ich użyć, a przepiękne drogi, żeby nimi podróżować. Wszystko to wydało mi się nieco histeryczne, ale wtedy nie znałam jeszcze tego kraju. Teraz wiem, że nie można go opisać inaczej niż w superlatywach. Najdzikszy, najbardziej wysunięty na zachód, największy, najgłębszy, najwspanialszy, najsurowszy, najwięcej mający zwierzyzny, najbogatszy, najurodzajniejszy, najsmutniejszy, najbardziej opuszczony — wszystkie te przymiot-



Największa powojenna wydawnicza sensacja amerykańska „Jajko i ja”, jest wesołą opowieścią o przygodach młodego małżeństwa. Dla zapewnienia sobie i żonie szczęśliwej i pewnej przyszłości Bob (mają) kupuje fermę, na której oboje zakładają hodowlę kur. Drukowany poniżej odcinek „Jajka” opisuje podróż i pierwsze prace młodych małżonków na kurzej fermie.

nik i należało się krajowi położonemu na wybrzeżu.

Prom dobił do brzegu. Wyjechawszy, Bob ostrzegł mnie, że mamy jeszcze przed sobą długą podróż i że jeśli chcemy wrócić tego wieczora, powinniśmy wyruszyć.

Droga z Docktown roła się od niebezpiecznych zakrętów, była wąska i pełna aut, ciężarówek i olbrzymich transportów drzewa, ciągnących się długim, zataczającym się ogonem na przyczepkach do ciężarówek. Wszyscy jechali, jakby się śpieszyli do pożaru i w dodatku po złej stronie drogi, a o zbliżeniu się do każdego zakrętu wiedziliśmy z daleka, słysząc ostre dźwięki hamulców i jęki opon. Bob jest świetnym kierowcą, ale i on miał trudności, kiedy na przykład ciężarówka ciągnąca za sobą trzy największe pnie największych jodeł na świecie, wyskoczyła zza zakrętu i musiała się zjechać z drogi i uciekać do lasu, żeby uniknąć kompletnego zmiżdżenia przez rozbawioną przyczepkę. Szofer ciężarówki wychylił się oknem, roześmiał od ucha do ucha, machnął nam ręką i beztrosko pojechał sobie dalej. Cofneliśmy się z powrotem na szosę i pokuszyliśmy się godnie w dalszą drogę, tuląc się nerwowo do brzegu drogi za każdym razem, kiedyśmy zobaczyli ciężarówkę. Po pewnym czasie wyjechaliśmy z lasów i zaczęliśmy okrążyć wielką dolinę, poszachowaną szmaragdowym zbożem zimowym, czarnym aksamitem zoranych pól i delikatną zielenią nowych pastwisk. To była mleczna okolica, gdzie najmniejsze fermi miały po 140 hektarów. Nieladne, pudłowane domy tuż przy drodze, nieozdobione kwiatami czy krzewami, stały po przeciwniej stronie drogi niż należące do nich pola, oparte o czarne, zbrocza pokryte drzewami.

Biało-czarne Holsteiny i opu-

szczone fermi były dominującą nutą w krajobrazie i według Bob'a te pierwsze były odpowiedzialne za drugie. Dolina kiedyś szczyliła się najpiękniejszymi stadami Holsteiów w całym kraju i farmerzy porobili wielkie inwestycje w zarodową gospodarkę, a gdy ileś tam lat temu rynek na Holsteiny się załamał, wielu z nich zbankrutowało. Ci, których nie złamał krach na rynku, zostali prędko poskromieni przez zaraźliwe ronienie i gruźlicę szerzącą się w ich stadach, i przez rządowy plan drenowania, który obciążył ich ziemie wielkimi podatkami. W dodatku mieli oni ciągły problem sprzedaży i byli zależni albo od miejscowych mleczarni i przetwórnictw serów, albo od okazjonalnych przedsiębiorstw w miastach, które, jak się skarżyli farmerzy, nigdy nie postępowały z nimi przyzwoicie. Mimo to, Bob nie rozklinał się nad ich losem, mówiąc, że byli rozpaczliwie zacofani i używając biblijnych metod produkcji, żalili się, że nie mogą wytrzymać konkurencji na dzisiejszym rynku.

Na dalekich polach zauważyłam kosmyki dymu, unoszące się z ziemi. Bob wyjaśnił: „Torf się palił. To jeden z największych dopustów tej okolicy. Lata temu, usiłując oczyścić trudne do oczyszczenia torfowiska, farmerzy podpalili wielkie kupy wyrzniętych pni, korzeni i drzew. Kiedy te się spaliły, odkryli ze zdumieniem, że ziemia też się paliła, i że ani kopanie rowów, ani orka, ani woda nie mogły tego pożaru ugasić. Po wielu doświadczeniach, przekonali się, że można ujarzmić ogień kopiąc rowy ponad metr głębokie, naokoło małego kawałka ziemi. To jednak okazało się tak wielką robotą, że w większości wypadków dali za wygraną i zostawili palącą się ziemię swemu losowi”.

— Czy po wypaleniu się ognia

ziemia nie nadaje się pod uprawę? — zapytałam.

— Niestety, nie nadaje się przez całe lata, bo torf pali się bardzo głęboko na mialki popiół, który nie może utrzymać wagi konia ani traktora. Pod ręczną uprawą ziemia taka rodzi kartofle wielkie jak arbuzy, i równie wodniste — zakończył Bob ponuro.

— Popatrz tylko na te pola — zawołałam pokazując na zaoraną ziemię, czarną jak lukrecja. — Cóż to musi być za bogata ziemia!

— Bogata to ona jest — Bob odpowiedział — ale to jest torfowisko, diabelnie drogie do oczyszczenia i wydrębowania. Jednego roku możesz tu wszystko wyzyszczyć i obsiać, a następnego znowu co metr wyorzesz jakiegoś pniaka i musisz wszystko zaczynać od początku. I wszystko to musi w dodatku być drenowane rurami.

Po tej rozmowie jechaliśmy przez dłuższy czas w ciszy. Niezwyciężony torf leżał czarno i pogardliwy w dolinach naokoło nas, a niezwyciężone lasy szumiały nam ponad głowami ze zboczy górskich.

Zawijając się w swój płaszcz i wyglądając tęsknie jakiegoś miasta, myślałam: „Ten kraj buntuje się przeciw cywilizacji, i to nie jest taki sobie bunt, o, pokazujący język, ale wielki bunt, poparty przez wszystkie siły przyrody”.

Dojechaliśmy wreszcie do miasteczka, szczytującego się szaloną obfitością czterech instytucji: hotel, fryzjer, stacja benzynowa i sklep, który był jednocześnie pocztą. Na dodatek był tam jeszcze śliczny, mały cmentarzyk i imponująca, murowana szkoła. Pięć dróg wiodło z miasteczka, ale Bob nie zawahał się ani chwili i wybrał drogę biegnącą na południowy zachód, ku oszronionym Góróm Olimpijskim. Przez wiele godzin potem nie napotkaliśmy już żadnego miasta, od czasu do czasu tylko małe sklepiki na rozstajnych drogach; zażywe doliny, porozdzielane zalesionymi pagórkami; stada bydła i rzadko rozsiadane domy fermerskie. Fermi ciągnęły się aż do stóp gór, i wsunęliśmy się tam tak niepostrzeżenie, że nie zauważyłam nawet, że jesteśmy już w samych górach, dopóki nie spojrzaliśmy przez okno auta i nie zobaczyłam bezsilnego strumyka górskiego, bijącego głową w olbrzymie ściany jaru. Żółte tablice ostrzegające: KRETA DROGA, ukazywały się od czasu do czasu i Bob włączył najpierw drugi, a potem pierwszy bieg, pchając się ślimakiem naprzód i w górę. Nieco później skręciliśmy z głównej szosy na boczną miękką drogę i dotarliśmy się wreszcie do „pewnego obiektu”, o którym mi mówił Bob.

Na pierwszy rzut oka ferma wyglądała rozpaczliwie opuszczona: przycupnięta w podółku wielkich gór, miała poszarzałe deszczami i wiatrami zabudowania, sad zarośnięty młodymi jodłami, połamane płoty i pustką zieleń okna. Wyglądało to zupełnie jak te stare opuszczone fermi, które ludzie przejeżdżający autem pokazują sobie, mówiąc: „Popatrz, jakie to malownicze!”, po czym jadą szybko dalej do czegoś nieco mniej malowniczego, ale cieplejszego i bliższego cywilizacji. Bob zatrzymał auto, żeby otworzyć bramę, a ja rozglądałam się smutnie po górach, tak bliskich, że miało się poczucie, jakby ktoś czytał przez ramię.

Podczas gdy ja stałam w progu „wczuwając się” w miejsce, Bob obchodził wszystko z młotkiem w ręku, obstukując ściany i wołając radośnie: „Betty, popatrz, ręcznie obrabione cedrowe bale, i twarde jak orzech”.

Dom był widocznie swego czasu budowany, jako mała chatka, siedem metrów na siedem, do której potem dobudowywano z różnych stron. Był ślicznie położony, na

W IMIONNIKU JANA KAMYCZKA

(pisane w altanie w dzień odjazdu do Kolbuszowej).

*Janie, jeżeli języki potwarcze
Będą nas chciały rzucić w różne strony,
Wiedz, że się znowu skryjesz za mą tarczę,
Oraz za miecz mój wawrzynem zielony.*

*Duch twój na skrzydłach znów przybędzie do mnie
W to wielkie święto naszych czystych sumień.
I znów popłyną szczęśliwe ogromnie
Łzy nasze jak kręty strumień.*

*A absolutnie nam niczego dowieść
Nie będzie mogła żadna jędra zła.
I znowu razem przeczytamy powieść
„Jajko i ja”.*

K. I. Gałczyński

małym wzniesieniu, z którego stały sad, przemieszany teraz z jodłami, schodził łagodnym zboczem do małego jeziora czy dużego stawu. Oryginalna chatka była teraz salonem, z oknami od północy i od południa, i z małą rachityczną werandą od frontu. Do niej przybudowano inne pokoje i kuchnię. Okna wzywały na południe, poprzez sad, na staw, i, oczywiście, na góry. Góry były wszędzie. Gdzie tylko się obróciłam, natykałam się na coś wielkiego i solidnego i bęł! rozsiadała się góra, ignorująca mnie lodowato.

Na pierwszy rzut oka zabudowania wydawały się marne i nie do użytku, ale przy bliższym zbadaniu odkryliśmy, że miały solidnie postawiony szkielet i dzięki temu mogliśmy zaliczyć do aktywów fermy także wielką stodołę, dwa małe kurniki, szopę i wygódkę. Do aktywów również zaliczyć się cztery hektary ziemi, które nosiły ślady czyszczenia i dwanaście hektarów dziewiczego lasu cedrów, jodeł i cykuty. Niektóre z drzew miały dobrze ponad dwa metry średnicy.

Na skraju polanki, w cieniu wielkiej czarnej jodły, odkryliśmy studnię. Studnia była do połowy wypelniona wodą, ale zamiast mocnego strumienia, jaki powinien być o tej porze roku, woda leciała cienką nitką, więc Bob zdecydował, że studnia musiała być opuszczona i zaczęliśmy szukać wody gdzie indziej. U stóp sadu znaleźliśmy większe i energiczniejsze źródło, wpadające do stawu. Nie było ono jednak ogrodzone, ani nie wykazywało śladów użytkowania, zdecydowaliśmy więc, że było to albo coś nowego, albo cierpiało na letnią chorobę. Czas miął wykazać. I wykazał. Woda miała się stać jedną z poważniejszych obsesji w moim życiu.

Kompania hipoteczna żądała czterysta pięćdziesiąt dolarów za sześć hektarów, sześciopokojowy dom, stodołę, dwa małe kurniki, szopę, wygódkę i daszający się piec kuchenny. Licząc wszystkie nasze oszczędności, prezenty ślubne i urodzinowe i pewną sumę ze spadku, który miałam otrzymać przy pełnoletności — mieliśmy razem tysiąc pięćset dolarów. Siedliśmy więc pod wiśnią, na zalanym słońcem podwórzu i używając ciesielskiego niebieskiego ołwka, wyliczyliśmy na dachówce, że zapłacimy gotówką za fermę; siedemset dolarów oddamy do banku na kupno i wychowanie trzystu pięćdziesięciu kur; a resztę użyjemy na reperację zabudowań. Wodę i opał mieliśmy za darmo. Ogród warzywny miał być duży. Mieliśmy hodować świnię, żeby zjadała odpadki, kilka kur, żeby mieć jajka dla siebie, a zanim kury zaczęłyby się nieść, Bob mógł od czasu do czasu zarobić nieco pieniędzy pracując w jednym z tartaków. W ten sposób najprostszym plan życia dwojga ludzi, został wypisany niebieskim ołwkiem na podnieszcznej dachówce.

Wyjeżdżaliśmy z fermy w pośpiechu, żeby jak najprędzej wprowadzić w życie nasze plany. Następnego ranka Bob zapłacił czterysta pięćdziesiąt dolarów i przyniósł do domu akt rejentałny. W tygodnie potem załadowaliśmy na pożyczoną ciężarówkę wszystkie nasze ruchomości i pojechaliśmy w góry, zanurzyć się po głowę w hodowlę kur.

„KTO, JA?”

CZYLI „BĄDŹMY WIEŚNIAKAMI”

— Kto, ja? — zapytałam, kiedy wprowadziliśmy się na fermę i Bob, wskazując od niechcenia wielką komodę, powiedział: „Zanieś to do sympalnego”.

— No, a kto? — warknął Bob zgrzyliwie, a ja zrobiłam podkówkę, bo zrozumiałam, że odtąd byłam już tylko żoną.

— Kto, ja? — pytałam niedowierzająco, kiedy podał mi lejce olbrzymiego konia, pożyczonego od sąsiada i kazał mi zawieźć nim sanie spiętrzone korą do szopy, podczas gdy on sam miał ubierać następny ładunek.

— Tak, ty! I śpiesz się! — ryknął Bob.

— To, to już nie ja! — zaskrzeczałam, przy czyszczeniu sadu, kiedy kazał mi pozaciągać wiazania na jodły i drygować w którym kierunku należało ciągnąć, podczas gdy on powoził końmi.

— Tak, ty. Wiem, że tego nie potrafisz, ale jesteś najlepszym pomocnikiem, jakiego w tej chwili mogę mieć — roześmiał się Bob gruboskórnie.

— Podaj mi młot. Pobiegnij do domu i przynieś więcej gwoździ. Pomóż mi okorować ten słup. Śpiesz się. Przyłóżno się lepiej do tego draśga. Napuść te podłogę, a ja tymczasem położę drugą. Tak się nie mierz okien, ty głuptasiu. Pomóż mi wyładować karmę dla kur. Zbiegnij na dół i przynieś parę wiader wody. Idź po te nasiona. Już czas napelnić pojniki kurczętom. Przynieś mi kilka belek. Zetnij mi jeszcze ze dwadzieścia pięć wstawek. Oh, nie bądź dziecinna, przynieś je tutaj; nie będę przecież zlaził z dachu po każdy gwoździ.

Tak było przez całą tę pierwszą wiosnę i przez całe lato. Z nieprzytomnej szczęśliwości wpadłam w czarną rozpacz. Byłam chętna, ale rozpaczliwie niewykształcona. „Trzeba mi się było uczyć ciesielski albo ściągania skór, a nie baletu” jęczałam, obstukując filar kurnika i waląc przy okazji w moje własne już pomiażdżone palce, wiedząc, że lada chwila połknę garść gwoździ, które mi przekłuwały wargi i kalczyły policzki.

— Świetnie się sprawujesz — mawiał Bob dobitnie. Mógł sobie na to pozwolić, bo sam pracował jak błyszcząca, ostra kosa. Bob był w robocie prędki, czysty, porządny i dokładny. Moje wszystkie wysiłki przypominały szrapnel — najlepiej było gdy w nie nie trafiały. Bob wbiiał gwoździe kilku pewnymi, prędkimi uderzeniami prosto w główkę. Ja wbiiałam swoje gwoździe krzywo na siłę, i najlepsze nawet okazy wyglądały, jakby były ręcznie naginane pod kątem prostym. Bob piłował szybko, lekko i prosto po linii. Zzzzzzzz — i już deska była przepiłowana, a dwie małe, porządne kupki trocinowe układały się grzecznie po każdej stronie. Moja pal fałowała, była z trudem wyciągana i przemocą wpychana z powrotem, a kiedy wreszcie kończyłam, Bob mówił: „Jakim cudem potrafiłaś zrobić to wzbienie?...” Bob miał dość świadczynie i odpowiednio usposobienie, a ja miałam tylko wiele energii.

Pierwszego dnia wnieśliśmy wszystkie meble do domu. Myślałam, że nazajutrz weźmiemy się do szklenia okien, kładzenia nowych podłóg, malowania, i wylepiania ścian. Tak wydawało się tylko mnie. Następnego dnia zaczęliśmy budować wychowalnię, bo ważnym było zacząć hodowlę kurcząt.

Bob wyciął długie na dwadzieścia pięć stóp belki z budulca na miejscu, przywiózł resztę drzewa z tartaku, podczas gdy ja łupałam gonty przy pomocy tępego wyszczerbionego narzędzia i wielu soczystych przekleństw.

Zbudowaliśmy wychowalnię w najładniejszej części sadu, frontem do stawu i do gór, ale jej obca nowość nie pasowała do otoczenia, więc zaproponowałam Bobowi, żeby po-

sadzić kilka szybkorosnących szczepów dzikiego wina i parę krzaków, żeby ją nieco zakryć. Bob był tak przerażony, jakbym zaproponowała co najmniej wnieście paru doniczek kwiatów do sali operacyjnej.

— Wychowalnię buduje się na podłożonych belkach, żeby można ją było przenosić z miejsca na miejsce. Kurczęta muszą mieć nową, nieskażoną ziemię — powiedział Bob.

Wszystko to wydawało mi się dmuchaniem na zimne, bo ziemia tam cała była nieskażona i dziewicza, tak że wbijając w nią łopatę wyczekiwałam zawsze, że krzyknie: „Aj, boli!”, a każdy zarazelek, któryby przetrzymał to surowe życie, byłby zapewne tak potężnych rozmiarów, że zobaczylibyśmy go z daleka. Mimo to wychowalnia została zbudowana na podkładach i pozostała w dalszym ciągu obrazą dla oka, oprócz dachu, który postarzał się bardzo pięknie.

Kiedy skończyliśmy wreszcie wychowalnię, gdy już zainstalowaliśmy tam piec i siedemsetpięćdziesiąt piszcących kurczaków — wydawało mi się, że zaczniemy robotę około domu. Noce były już wtedy zimne i padało przynajmniej trzy dni w tygodniu, i wydawało mi się, że moglibyśmy sobie dogodzić paru wstawionymi oknami i drzwiami. Tak wydawało się tylko mnie. Najważniejszą rzeczą z kolei okazało się wybudowanie dwóch nowych kurników, i wybielenie ścian i położenie nowej podłogi w jednym ze starych kurników, tak żeby kogutkom było możliwie jak najwygodniej w okresie tuczenia ich. Dla kogutków zrobiliśmy też piękny wybieg, a drugi stary kurnik przerobiliśmy dla prosiaka, ponieważ świniaki muszą mieć wygodnie i muszą być chronione od nocnego zimna i od wilgoci. Zanim skończyliśmy to wszystko, nadszedł maj, zimny i tak deszczowy i wilgotny, że na naszych ubraniach w szafach osiadała pleśń, a przykrywając się koldrą człowiek miał wrażenie, że na siebie naciąga wodorosty.

— Teraz już mamy cały inwentarz ulokowany w cieple i wygodzie i na pewno weźmiemy się nareszcie do doprowadzenia domu do porządku — myślałam. Ale tak się wydawało tylko mnie.

Nadszedł czas orki i obsiania ogrodu. Czytałam kiedyś, że trudy życia na fermie, w połączeniu z życiem w górach, hartują człowieka niebywale. Po tych dwóch miesiącach jednak, byłam wciąż obolała, jak żab, a serce Boba było jedyną rzeczą, która się hartowała i stwardniała na fermie.

Pewnego pięknego majowego dnia, tuż po śniadaniu Bob wjechał na podwórze, siedząc na grzbiecie konia, który sadząc z rozmiarów, musiał być spłodzony przez słonia. Zarzucając niedbale lejce na słup, Bob poinformował mnie, że mam prowadzić tego potwora, podczas gdy on będzie siedział tyłu za pługiem. Wszystko układało się jako tako aż do chwili gdy Ptaszek, koń, nadepnął mi na nogę.

„On mi nadepnął na nogę — tłumaczyłam cierpliwie Bobowi, który narzekał, żeśmy się zatrzymali.

— No, to go nastap i jedźmy dalej — krzyknął mężczyzna, który mi przysięgał miłość.

Tymczasem to co było moją nogą, było wdeptywane coraz głębiej w miękką ziemię, a Ptaszek przysiadł się markotnie krajobrazowi. Biłam go po kolanie, krzyczałam na niego i krzyczałam na Boba, aż wreszcie Ptaszek zrobił roztargniony krok naprzód i podniósł nogę. Pokuszyłam się do domu i moczając nogę snulam rozważania na temat mężczyzn i zwierząt.

DALSZY CIĄG ZA TYDZIEŃ

KRÓLA SĄDZONO NA LESZNIE...

(Fot. Film Polski)

Króla Cyganów Rudolfa Kwieka oskarżyli krewni o współpracę z Gestapo. Proces ten odbył się przed sądem rejonowym na Lesznie w Warszawie



„...król dostał 40 000 złotych i samowolnie ściągnął mi pierścionek z palca” — stwierdza krewna króla Zofia Kwiek, będąca z mężem głównym świadkiem oskarżenia



„...szkoda, że od razu nie powiesz, że cię w ogóle zabiliem! Strach pomyśleć ile fałszu i kłamstwa przetrwało mnie!” — woła w świętym oburzeniu prześladowany władca



„Jaki też wyrok dadzą memu ojcu” — króliewicz Trojan Kwiek patrzy z niepokojem na ławę oskarżonych. Również i sama królowa jest zaniepokojona o los całej dynastii. Natomiast młoda księżniczka uśmiecha się zadowolnie



Rudolf Kwiek uwolniony został od winy i kary. Król w przystępie radości chciał ścisnąć swego obrońcę, belkocząc coś w formie podziękowania. Oskarżyciele ulotnili się błyskawicznie, zaś niewidoczna na fotografii, ale wierna rodzina, czeka by móc zacząć całować dostojne dłonie monarchy

Rudolf Kwiek vel Bananero, jest niskim, korpułentnym, 73-letnim panem, którego jowialny wygląd podkreślają dobrze wypielęgnowane, siwiejące włosy. Patrząc na niego, trudno opędnąć się natrętnym myśl, że postać ta wypadła żywcem z cyklu karykatur Sogliwa „Mały Król”. Monarcha ma kilka autentycznych obywatelstw, z których obecnie posługuje się hiszpańskim, którego atrybutem jest piękne miłano — Bananero. Objęła wiele krajów i był nawet w mieście, które początkujący protokolant zapisał w aktach śledczych

[illegible][illegible]

Nieście więc brakowało, by
prawowity władca ugrzązł w
kłamstwach, osierocając swó-
go lud. Nawet sam następca tro-
nu miał czarne myśli, kiedy
zapytał adwokata Nutmanna
o broniącego jego ojca. „Pani-
nierczysie, czy oni mogą wy-
grać sprawę, kiedy mają osiem-
nastokrotnie więcej świadków
rechi?” Adwokat jednak wydo-
bił z zęzgań spiskowców ze-
reg listowych rozbieżności i
sąd nie dał wiary oskarżeniu.

ŁUCZAN WOŁANOWSKI



Dorobkiem emigracyjnym Konrada Ekierta jest młoda Francuzka, Arlette Francis, która ukrywała go przez cały czas okupacji niemieckiej u swych rodziców w Plachy-Buyon (Somme) a następnie desperackie czekała, podczas gdy Konrad walczył w II Korpusie. Obecnie Arlette jako pani Ekiertowa jedzie z mężem do swej nowej Ojczyzny



Według umowy, wyrusza z emigrantami 5 składów pociągów francuskich na przemian z 5 polskimi. Podróżni, chcący wiedzieć o tym co ich czeka w Kraju, zasympjują naszych kolejarzy pytaniami. — Gorzej wam tam nie będzie niż tutaj — opowiada grupie repatriantów kolejarz Stanisław Gajda z Brwinowa. — Raczej lepiej



Najuboższe Ilumoki repatriantów nie mogą się obejść bez kilku butelek wina starannie opatulonego w słomę. Józef Kormanek z Ruizé postanowił wziąć jedną taką butelkę „pod pachę” (choć rozpycha mu kieszeń nowego, spiewionego tuż przed wyjazdem ubrania), aby wypić je na granicy z pierwszym napojonym rodzicem.

A ja z Francji boso jadę
Widzę ludzi moją biedę.
I bez portek i bez gaci
Bo nas majster klepsko płaci.
A na obiad ani groza
A kolacja przegwizdana
Miał kundo aż do rana!
Bo te kunty on rajzuja
Co zarobią, to przepiją.
Co zarobią siekierczką
To przepiją z panieneczką.

Nieglębno, przez zbyć z
na ciele cardo śpiwając za
zwrotki na monachi oś
wielu, wielo, wielo.
Dziś „Jedną przestając ra
tylko kłudy podróży, ostatni
Z powrotem i na powrót.
skąd ponad sto porówna
powiżo dotyczących do Kr
słency repatriantów. W ci
kwartałów powróci do Pol
Wielu znajduje się mied
głęboko rozczarowanych.
niegdyś do wychodźstwa p
podręczni, bo ubożsi o niepi
wielu, wielo, wielo, wielo
granej pracy dla obcych. S
którzy pozostawali za sobą
gami latami wysiłków w celu
nie, mieszkająca unelubia
wielu, wielo, wielo, wielo
sell o dobrobytu życia. W
nie, a dzieci swoje chcieli
losem, którego sami nie do

[illegible]

FOT. WŁ. SŁAWNY TEKST M. JAROCHOWSKA (KORESPONDENCJA WŁASNA)

A JA Z FRANCJI BOSO JADE...

szalancją, lub
niewymyślne
llach polskich
ka liczy sobie

wać". Jeszcze
Do Ojczyzny.

Polonii francu-
zkiej - transpary-
tne - około 40 ty-
najbliższych o-
70 tysięcy z o-
ysięcy rodzin.
emigrantami
dzą zmuszeni
racają jeszcze
tarzalną staw-
wielkiej, prze-
ównież i tacy,
ystencje mno-
a, posiłki mię-
kolacje pod-
ystko, bo wo-
asnej Ojczyź-
darować tym
ali.

dziesiąt-
dziennika pol-
u. Takich ko-
k te:
Redakcji! Za-
m 15 lipca do-
zety Polskiej"
Wam serdecz-
pracę i oświe-
Wasza gazeta
nie wiedziałem
co prawda, to
dnie pisze, ale
tylko się nau-

swolm życiu.
było nas 7 o-
morgów piasku.
na a zimą cho-
zo wyjechać nie
atka pojechała
do chłopów na
cie lat, wy-
acą i chlebem.
6-tej do 6-tej
dfe i odciągane
pojechałem do
e tam powsta-
ałem powolny
alczylem, bo
niemy wszyst-
jak przyjecha-
trzeba będzie
m obciale, ale
mni nie mam
ści i w r. 1922
do Niemiec za-
nowu wrócić
ca — nie mam
ani w Kongre-
s samej gran-
domu na pie-
ie, a spanie to

do Francji i tu
przychodzi ta
Ojczyznę. Ale
ciaków i chleba
cała zniszczona
kich. Ale będą
stary, dla nas
więcej nie tu.

ki Tomasz
rande (Moselle)
apidarności in
ie wymaga si
owszechniejsza
żenia banalna

ewne na Sł
cial, dla prz
olić im się tu
rancuskich ko
h-i-przemysł
dni odjeżdża

T O W S K /



Dzień odjazdu staje się świętem w całej okolicy. Gęste tłumy gromadzą się na dworcu, aby żegnać wyruszających. Górnicy zwalniają się na to popołudnie z pracy, z odległych osiedli przyjeżdżają znajomi i „kumy”. Nie długo oni także ruszą w tę samą drogę.



Obsady poszczególnych wagonów rywalizują między sobą w dekorowaniu swych wozów. Śroją je w zielen, kwiaty, lańcuchy ze słomy, portrety członków Rządu i transparenty z napisem najczęściej obojętnym na przykazania ortografii: „Ojczyzno, wracamy na apel twój!”



Ciężarówka PKR zebrana do pociągu bagażu. Każdy słusznie chce zabrać ze sobą cały swój dobytek. Na ścianach mieszkań zostają tylko podłogi, obklejone srebrem staniolu. Nie zawsze przynajmniej zęście na obczyźnie, niebezpiecznie zabierać je do kraju. Gdy bagaż jest już załadowany, auta ciężarowe przewożą z osąd do pociągu pasażerów. Hool — (ktoś jeden przez dwójkę, by jak najszybciej zająć miejsca w wagonie



Podczas, gdy urzędujące na dworcu pud gołym nieobem komisja rozdziela miejsca w wagonach, repatrianci czekają wraz ze swym podręcznym bagażem na peronie. Tymczasem organizuje się w pociegu kuchnia wagonowa, która będzie karmi repatriantów przez czas podróży. Zanim zgłosi się pierwszy obiad, dobrane smakuje na łóżewym powietrzu posilek z własnych zapasów, zakupionych na drodze. Szczególnie u dzieci odróżnić niewiele, wzmocni zapach



Jerzy Berucik z Amiens nie kłopotuje się jeszcze ani dniem wczorajszym, ani tym, co go czeka. Ma za sobą zaledwie 4 miesiące przeszłości, jest najmłodszym z 4-ga rodzeństwa i swoją naukę ludzkiej mowy rozpocznie od słowa „mama”, a nie, jak trzech jego starszych braciszków — od francuskiego słowa „maman”



Zygmunt Kaczyński, górnik z Fougiers Lens dźwiga żonę i maszynę do szycia. Przyjeżdża do Polski po 25 latach wychodźstwa. Pani Kaczyńska będzie pomagać mężowi jak dotychczas, szyjąc sukienki miejscowym eleganckim, a krój „paryski” z pewnością zyska sobie ogromne powodzenie na Dolnym Śląsku



Jan Macierzyński, robotnik leśny, wraca po 15 latach nieobecności do swego gospodarstwa na Lubelszczyźnie. Nie spodziewa się w Polsce chleba z miodem, ale wiezie ze sobą tego miodu obietnicę w postaci roju własnych pszczół, wypełniających drewnianą skrzynię głośnym i niecierpliwym szumem brzęczenia



Przysłowiu „wybiera się jak sówka za morze” przeczy powyższy obrazek: — Karola, jedziem i już — oznajmił swej siostrze Stanisław Stańczyk, górnik z Houda, sówka zaś towarzyszy mu bez ociągania. W swej ozdobnej, misternie rzeźbionej klatce szybciej przybędzie do celu podróży niż na własnych skrzydłach



—Do zobaczenia w Polsce — żegna kolejarz emigrantkę, która przybyła, aby potęgnać odjeżdżających znajomych. Czułe argumenty kolejarza musiały być przekonujące, bo niewiasta zapewnia, że najbliższym transportem wybierze się do kraju



Zęby pogubili na łufacze, ale humoru nie roztrwonili. I gdy w letnie, gorące południe, rusza uśmiejony zielenią wagon z transportem wszyscy podróżni przy donośnych dźwiękach harmonii śpiewają wesoło — żegnaj Francjo, witaj Polsko!

Gustaw Danilowski: **Z MINIONYCH DNI**. Powieść. Sp. Wyd. „Czytelnik”. 1947. Str. 181.

Dobrze jest niekiedy — dla wypoczynku — cofnąć się pamięcią w czasy starych, ustronnych dworów wiejskich, gdzie rozgrywały się „mroczne dramaty rodzinne”. Znalazł się tam wiele dziwów i wielu dziwaków pamiętających jeszcze Wielkiego Cesarza. „Z minionych dni” — to długa gawęda, pełna opisów zimowych wieczorów, zdradliwych trzęsawisk i w ogóle „rzeczy strasznych”. Jest naturalnie i tajemniczy park i strzyżek z masą nieprzydatnych rupieci. Dziś czyta się to wszystko z pewnym pobłażaniem, jako że wstrząsające owym światłem zdarzenia, są wobec dziś przeżywanym, niczym strzelanie z torb papierowych wobec wybuchów bomb samolotowych. Dobra i przyjemna lektura. Ziem.

Włech (Stefan Wiechecki): **CAFÉ POD MINOGA**. Powieść. Ilustracje Jerzy Zaruba. Wyd. „AWIR”. Katowice, 1947. Str. 232.

Przedzej, niż ktokolwiek mógł oczekiwać ukazała się w wydaniu książkowym pierwsza powieść Włecha. Pamiętacie ją wszyscy, jak była drukowana w „Przekroju”. Pamiętacie również rysunki Jerzego Zaruby. Każdy z Was przypomniał sobie „Minogę” ku pożytkowi i radości. Koź.

Jan Dąbrowski: **MIĘJSCE POD SŁONCEM**. Powieść. Wyd. IL Spółdz. Wyd. „Wiedza”. Warszawa, 1947. Str. 186.

Trzęsł powieści są dzieła bezrobotnego, żyjącego w Polsce między dwoma wojnami światowymi, który, prześladowany z powodu przekonań politycznych, swe jedyne „miejsce pod słońcem” znajduje dopiero w wienieniu. Najsłabsze nawet tendencja polityczna nie usprawiedliwia jednak wydawania źle napisanych powieści. Nie wystarczy trzon ideowy i dziennikarska umiejętność pisania, żeby napisać dobrą książkę. Książka Jana Dąbrowskiego jest nieporadną powieścią, w której tendencja polityczna dominuje za każdą cenę, a przede wszystkim za cenę poziomu artystycznego. Nie jesteśmy w stanie zrozumieć dlaczego wznawia się te książki, tym bardziej, iż już i przed wojną obiektywni i politycznie nawet przychylni krytycy nie odeszli się z powieściami Dąbrowskiego zbyt łaskawie. Koź.

Józef Sawajner: **W PODZIEMIACH TAJNEJ Drukarni**. Kraków, 1947. Wyd. L. Wierchowolski. Str. 76.

Broszura Sawajnera, która ukazała się ostatnio przynosi wiele ciekawych szczegółów o pracy tajnej drukarni Konspiracyjnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych. Sensacją książki jest odbitka fotograficzna strony ogłoszeń słynnego „podziemnego” wydania „Gońca Krakowskiego” z 1943 roku. Z ogłoszeń tych — dla przypomnienia — przytaczamy dwa:

1. „Przyrzędy ginekologiczne, nieodzowne do porodu Wielkich Niemiec chętnie kupię. Adolf Hitler, Reichskanzler — Berlin”.

2. „Zgubłem flotę niemiecką i szukam swoich łodzi podwodnych. Admirał Doenitz”.

Ow numer „Gońca” z 1943 r., został złożony właśnie w drukarni KWZW.

Kydr.

NOWE DROGI. Czasopismo społeczno-polityczne. Wydawnictwo KC PPR. Nr 4. Lipiec 1947. Str. 226.

Dwumiesięcznik „Nowe Drogi” jest jednym z najciekawszych periodyków. Ostatni — czwarty — numer zawiera cztery doskonałe pozycje, z którymi winien się zapoznać każdy działacz polityczny czy społeczny. Wicepremier Gomułka reasumuje osiągnięcia i cele stojące przed społeczeństwem w związku z Trzecią Rocznicą PKWN. Roman Zambrowski w artykule „Decydujący czynnik stabilizacji politycznej” porusza sprawę jednolitego frontu PPR i PPS. Stefan Jędrzejowski omawia obecną fazę naszej polityki gospodarczej. Historyczka Cecylia Bobińska dyskutuje z paru publicystami, głoszącymi dziś teorie pewnego neo-pozytywizmu i rewizjonizmu historycznego (Kruszyński, Bocheński, Horodyski i inni). Ponadto w tym samym numerze doskonale i bogato opracowany dział międzynarodowy zawierający prace pisarzy radzieckich i francuskich. Top.

Charaktery

WERONIKA ALBO STAROŚĆ NIEPOWAŻNA. Weronika mówi do przyjaciółki: „Dziś — hm — kończę jednak te swoje pięćdziesiąt lat życia. Bądź pewna, że nie tylko bez zgody na ten gwałt nade mną, ale z nieopisanym ponadto zdziwieniem. Każdy przez długie lata przywyka do tego, że jest młody, to stanowi najdawniejsze nasze przyzwyczajenie. Nie z własnej przecież woli, Jolanto — ciągnie Weronika — ono to wydaje na mnie ten wyrok. O dziwo! Byłaby to kara za wszystkie rozkosze, wypite przeze mnie z faktu, że uczestniczę w ruchu gwiazd, planet i słońc, że nieopatrznie — co dzień jednak obracam się z ziemią”.

Jolanta milczy. „Kto wie — rozmyśla głośno Weronika — czy z chwilą, gdy najlepsze specyfiki Elisabeth Arden przestały odmładzać twarz, nie nadszedł czas, aby wybrać się w nieustającą drogę na zachód, po prostu nie wysiadać z samolotu. Ale cóż, kiedy każda tak męcząca i kosztowna podróż naokoło świata da mi w wyniku jeden zaledwie uratowany od przemijania dzień...”.

Jolanta nie odpowiada, tylko śmieje się w sposób, nie budzący w Weronice zaufania. Śmieje się ponieważ dobrze wie, że o tym dniu Weronika kończy nie pięćdziesiąt, ale pięćdziesiąt siódmy rok życia.

Tak sobie myśli. Mówi zaś tylko, że jednostką miary wieku jest przecież rok, nie dzień.

A zahamowanie ziemi w jej odstukującym lata gorliwym i spiralem uganianiu się za słońcem, mknącym w nieskończoność, i tak nie leży w mocy Weroniki.

JANUARY ALBO MĄDROŚĆ UCIAŻLIWA. January jest rozumny, ale odznacza się nadmiernie silną wrażliwością na głupotę cudzą. Jego o niej przeświadczenie idzie tak daleko, że nasileniem swym wyczerpuje niekiedy cały zapas jego mądrości własnej. I to w chwili, gdy należałoby ją właśnie w stanie luznym, niejako — nie związaną, uruchomić i głupocie dla pocuzenia innych przeciwstawić.

January bowiem nie posiada wyobraźni, dlatego w sporze z drugim człowiekiem nie bierze nigdy pod uwagę motywów i założeń jego słuszności. Nie uwzględnia też jej złożonego mechanizmu. Nie obchodzi go jej historyczne podłoże i wynikająca z niego psychologiczna konieczność. To też nie zwalcza przeciwnika tam gdzie jest on istotnie do zachwiania, a

gdzie można go zaskoczyć i przyniknąć, tylko uderza w formułę jego wiary, w twardą skórę jego moralnej postawy, w suchy i niemądry tekst dogmatu.

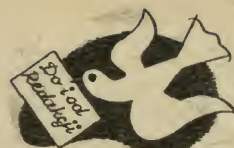
Marzeniem jego młodości jest jednanie ludzi, przekonanie ich o swojej wiedzy, wzmocnienie liczebne własnych szeregów. Postępuje natomiast jakby mu szło o coś wręcz przeciwnego. Jest na zbyt pewny swej słuszności, jest swą słusznością wprost ośniony, zamroczony nią do tego stopnia, że możliwych przyjaciół przeobraża w najzaciętszych swych wrogów. Odstępuje ich od swych wierzeń, zagania w ciasne mroki ich warowni, skąd nie mają już możliwości wyjścia z honorem i gdzie też nie dosięgają ich już jego cięsy. Walczy złym słowem, urągłym epitetem, wyrzeka się natomiast najcenniejszych osiągnięć dowodu i perswazji.

Mądrość tkwi w nim niejako otorbiona, izolowana, nie przychodzi mu z pomocą, gdy jest najbardziej potrzebna. January osobno mówi parę pięknych i trafnych uwag o rygorach ścisłego myślenia i przestrzeganiu zasad argumentacji. A zaraz później używa zapewnień bez treści, jak: „dziś nikt już nie powie, że” albo: „obecnie już każdy zrozumiał, że” — i tak ubezpieczony podaje tekst słuszności własnej. A właśnie o to chodzi, że owszem, wielu „powie”, że rozumie nie „każdy”. Bo gdyby nikt nie powiedział i każdy naprawdę rozumiał January nie miałby przecież o co się spierać.

Wychodzi na to, że January zdolny jest przekonać tych tylko, którzy już przedtem myśleli tak jak on.

Bo rzeczą zadziwiającą i nawet trudną do wiary jest, że słuszność leży istotnie po stronie Januarego, że krótko mówiąc — on to ma rację. Rzecz zadziwiającą i zarazem troskę budzącą. Słuszność ta bowiem domaga się innej obrony, nakazuje mianowicie badawcze wnikiwanie w istotę słuszności innych.

Przy odrobinie wyobraźni i cołkolwiek mniejszej pewności siebie — January zamiast urażać i odrzucać, zamiast stawiać warunki przymierza, których człowiek z ambicją przyjąć nie może — dosięgnąłby mądrością swoją głupoty innych według doskonałych metod sztuki prowadzenia sporów. Może też udzieliłby im wówczas swej niewątpliwiej wiedzy o sprawach ludzkich. A mądrość jego stała by się czymś więcej, niż zaporą pomiędzy nim i światem.



W związku z artykułem w 123 numerze „Przekroju” otrzymaliśmy list następujący:

DO REDAKTORA „PRZEKROJU”

Cały naród jest zainteresowany tym co się dzieje z arasami i innymi pamiatkami narodowymi, jakie zostały wywiezione z Wawelu w pierwszych dniach września 1939 roku.

Z chwilą najazdu hitlerowskiego na Polskę, arasy wawelskie zabrał w obawie przed Niemcami kustosz Muzeum Wawelskiego dr Stanisław Świerż-Zalewski, przy pomocy pana Polkowskiego.

Wędrówka arasów była długa. Z Rumunii do Francji, a potem przez Anglię do Kanady i tu zostały umieszczone na fermie eksperymentalnej w Ottawie.

Wkrótce po przyjeździe do Kanady dowiedziałem się, że arasami i innymi pamiatkami narodowymi opiekują się członkowie byłego poselstwa w Ottawie. Wydawało mi się, że nie łatwiejszego, jak przejęcie skarbow i odebranie ich na Wawel, tymczasem okazało się, że panowie ci nie są skłonni oddać majątku narodowego. Opini publicznę tłumaczyli, że nie mogą arasów wydać polskiemu poselstwu, gdyż pojadą one nie na Wawel, lecz wprost do Moskwy. Nikt w to nie wierzył, ale dla przykrycia swoich brudnych machinacji, każdy wykręt jest dobry. Na stanowisku prawdziwie patriotycznym stanął dr Stanisław Świerż-Zalewski, który w trosce o pamiatki narodowe pomagał nam odszukać dzieła sztuki, które zostały gdzieś zamelinowane przez ludzi londyńskiego reżimu. Okazało się, że przed przyjazdem moim do Ottawy zostały one zabrane z fermy eksperymentalnej i umieszczone w klasztorach. Osiem pak arasów w klasztorze w Ottawie, a 24 paki w klasztorze w Quebec.

Kiedy do klasztoru zgłosiła się oficjalnie delegacja poselstwa poinformowano ją, iż arasy zostały zabrane przez pana Polkowskiego, byłego pracownika na Wawelu. Od tego czasu poszukiwania trwają i rząd kanadyjski uczynił nacisk na zlikwidowanie tej bardzo kompromitującej afery. Przyścinęli do muru aferyści zobowiązali się dostarczyć arasy do Muzeum Narodowego w Ottawie. Czy zostały już dostarczone? Nie mam wiadomości.

W rękach kustosa Zalewskiego znajduje się obecnie chorągiew zdobytą przez króla Sobieskiego pod Parkanami i kilkanaście dywanów Wawelskich. Poza tym w „Bank of Montreal” zostały zabezpieczone 2 kufry z mieczem Chrobrego, buławą hetmańską, egzemplarzem Kazań Świętokrzyskich, biblia Guttenberga, rękopisami Szopena i wielu innych zabytkami. Z chwilą otrzymania arasów, a jest ich 132, kustosz dr Zalewski wróci ze skarbami do Krakowa.

Dr Alfred Fiderkiewicz
b. poseł R. P. w Kanadzie

DO REDAKTORA „PRZEKROJU”

W numerze 122 „Przekroju” można podziwiać przystojnego lotnika, wybięrającego się właśnie w podróż helikopterem, aby rozpyłać nad Szwecją proszek DDT. „Przekrój” urabia opinię miliona czytelników, dlatego ważną jest rzeczą, aby ta opinia była zgodna z rzeczywistym interesem ogółu, opartym na podstawach naukowych. Wynalazek w istocie jest cenny. Jednak w stosowaniu go na szeroką skalę należy kierować się rozważa! DDT niszczy owady i czyni to nawet bardzo radykalnie. Dla wszystkich, którym dość nadokuczały „złośliwe muchy i komary”, jest to powód do radości. Ale pamiętajmy o jednym! Proszek DDT, rozpylany z samolotu na wielkie przestrzenie, niszczy w s y s t e m i e owady, nie tylko te, które dla nas osobliście są nie mile lub szkodliwe, ale bez wyjątku wszystkie. Pozostawia pustynię „bezwadziłą”. A w przyrodzie istnieje ustalona równowaga i białą temu, kto ją zakłóci! Wielokrotnie już zemię było strasznie na człowieku, gdy wdzierał się w biocenozę przyrody, psuł jej harmonijny ład. Cóż się stanie, gdy wystąpią owady? — Zniszczymy tym samym ptaki śpiewające, ssaki owadożerne, a to pociągnie za sobą dalsze konsekwencje i trudno nawet przewidzieć, jakie ostatecznie zaburzenia w przyrodzie spowodujemy. Obysmy nie wylewali dziecka razem z kąpielą i nie młodziłoby dokuczliwej muchy wraz z czolem śpiącym! Amerykanie dysponują wielkimi terytoriami i stać ich na eksperymenty nawet bardzo ryzykowne, ale kto wie, czy i oni wkrótce nie pożałują rozpylania tego proszku z samolotów, gdy stwierdzą rozmiary klęski, spowodowanej zakłóceniem równowagi w przyrodzie. Stosowanie tego bezwzględnie cennego wynalazku, jakim jest DDT, należy wplwić poddać bardzo sumiennie badaniom naukowym, przeprowadzonym przez fachowców, nie chemików lecz biologów.

Prof. dr Jan Mydlarski
U.M.C.S. Lublin

STEFANIA GRODZIENSKA

WAZON OD CIOCI HELI

FELIETONOWELA

STRESZCZENIE POPRZED-NICH ODCINKÓW: Maciupscy oczekują przyjazdu cioci Heli, od której zależy losy ich córki. Nagle przypominają sobie, że japoński wazon, który od niej otrzymali, ofiarowali Pichcikowski. W obawie, że ciocia Hela się obrazi, postanawiają za wszelką cenę wazon od Pichcikowskich odebrać. W tym celu opowiadają im zmyśloną historię o kolekcjonerze wazonów, który jakoby przyjechał z zagranicy i poszukuje właśnie tego wazonu. Pichcikowscy wazon zwracają, ale potem interpretują historię Maciupskich na swój sposób. Tymczasem odzyskany wazon znika tajemniczo z mieszkania Maciupskich. Dokola sprawy wybucha burza plotek, rzecz trafia do prasy.

„Drogi Kociu!” — pisała Pichcikowska — „Nie rozumiem, dlaczego tak mało mam od Ciebie wiadomości. Przez cały czas jedna kartka i nic z niej nie wiem. Czy Łódź odebrała moją szafkę z chemikaliami? Pewnie nie, ona by o czym pamiętała. Spotykam tu Jampakową, co dzień w innej toalecie. Skąd ona na to ma? Co jadasz na obiad? Niech Łódź nie kupuje wędliny na rogu, raz mi wpakowali zepsutą szynkę. W tym domu wypoczynkowym byłoby zupełnie możliwe, gdyby nie to, że bardzo mało osób z towarzystwa, które przyjechały na wypocinek. Sami ludzie na wczasach. Kobiety okropnie poubrane, a mężczyźni podczas obiadu rozmawiają o planie trzytętnym. Czasami żałuję, że nie zostałam na wsi do końca, tylko że nie wypada, żeby akurat ja jedna nie była w tym roku na Wybrzeżu. Wyobraź sobie, że przy sąsiednim stole siedzą jacyś ludzie, o których słyszałam, że to są podobno robotnicy! Przyglądam im się, ale gdyby mi nie powiedziano, że to robotnicy, to bym przysięgła, że kuracjusze. Wprawdzie jeden ma wąsy, ale przecież mąż Janki też ma wąsy, więc to niczego nie dowodzi. W morzu raz się kąpałam, ale zupełnie mi się włosy rozpuściły, więc to nie ma sensu. Franio się zaprzyjaźnił z synem jakiegoś człowieka, co do którego nie mam pewności, czy nie jest robotnikiem, ale nie wiem, czy teraz jest na czasie, żeby mu zabronić się z nim bawić. Jak ty uważasz? Masło tu o 20 złotych droższe. Jampakowa wczoraj nosiła płaszcz z białej wielbiadziej wełny, wyglądała jak warlatka. Jak ja ci mówiłam, że chcę mieć taki płaszcz, to nie chciałeś mi sprawić, a teraz ona ma a ja nie. Na plażę nie chodzę, bo Jampakowa twierdzi, że jak są te wczasy, to nie można wytrzymać. Wszędzie ich pełno. Rzeźczyliście, jeżeli już mamy szerszy dostęp do morza, to chyba nie po to, żeby tu przyjeżdżali ludzie, którzy pierwszy raz w życiu są nad morzem. Wydziewają, jakby to było coś nadzwyczajnego. Biejąca woda, obasypana naokoło piaskiem. Przed wojną na przykład w tej miejscowości było zupełnie inaczej. Nigdy nie miałam odwagi tu przyjechać, takie towarzystwo tu bywało. Nic dziwnego, tu już była zagranica. Ale teraz przecież mamy nowe porządki. Jedyna pociecha, że historia z wazonem tu też jest bardzo popularna i już wszyscy wiedzą, że ja jestem ta Pichcikowska, u której był wazon. Muszę wciąż opowiadać, jak to było

i wszyscy uważają, że w wykradzień wazonu są zamieszane bardzo wysokie czynniki. Czy widujesz Maciupskich? Gdybyś się dowiedział czegoś nowego, to napisz natychmiast, bo ja tu uchodzę za pierwsze źródło i wszędzie mnie zapraszają. Ubyło mi pół kilo. Franio dobrze wygląda, tylko wciąż ma obstrukcję. Niech Łódź zamarynuje śliwki, tylko niech kupi na targu, bo taniej.

Całuję Cię

Twoja Cesia

P. S. Nie jedź na noc mięsa. Twoja Cesia”.

Pichcikowski włożył list z powrotem do koperty, zanotował na kalendarzu „odpisać Cesi” i poszedł do biura.

— Co nowego, panie Konstanty? — zagadnął go na korytarzu bezpośredni szef.

— Dziękuję, panie naczelniku — uklonił się Pichcikowski.

— Pan, zdaje się, słomiany wdowiec, co? Rodzina na wsi?

— Ścisłe mówiąc, rodzina była na wsi, panie naczelniku,

ale żona tak ciężko pracuje cały rok przy gospodarstwie i, jakby to powiedzieć, na niwie społecznej, że zrobiłem wysiłek, żeby się trochę rozzerwała na Wybrzeżu.

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie. I co, zadowolona?

— Szczęśliwa, panie naczelniku. Jest w domu wypoczynkowym i zachwycona, że, prawdę mówiąc, różnic klasowych. Właśnie list od niej miałem — „coż to za zdobycz demokratyczna!” — pisze. Ze każdej, prawda, może wyjechać. „Coż to za błogosławieństwo, że wczasy pracownicze!” — pisze. Ze u-możliwiono szerokim masom, prawda.

— Tak, tak. To ładnie, że pańska małżonka to docenia. Byle by jej pogoda dopisała.

Naczelnik skinął głową i wszedł do swego gabinetu.

— Serwus, Konstanty. O czym żeś tam głądził szefowi? — zaczął Pichcikowski kolega.

— Wypytywałem mnie o rodzinę. Wiesz, facet przepada za mną. Może dlatego, że ja mu

zawsze wygram prosto z mostu.

— Coś mu powiedział?

— Nie takiego. Pyta mnie, czy żona zadowolona z pobytu na Wybrzeżu. Więc ja mu prosto z mostu. Ze jak może być zadowolona, kiedy tam sama hołota z tych związków zawodowych. Kobieta bądź co bądź z klendersztubą, skarży się w liście, że nie umieją się przy stole zachować. „Potworne sceny się dzieją!” — pisze. Ze do morza nie można wejść.

— I tak mu powiedziałeś?

— Prosto z mostu. Co się będzie kłopotował. Dlatego mnie tak cenil. No, przepaszka cię, trzeba zejść do roboty.

Pichcikowski niedbałym krokiem przemierzył korytarz i wszedł do pokoju, w którym urzędował. Z niechęcią spojrział na stos korespondencji adresowanej do jego działu, zapalił papierosa, poprosił woźnego o herbatę i zadzwonił do panny Sylwii Kocińskiej z baletu, aby ją zaprosił na obiad.

CIĄG DALSZY ZA TYDZIEŃ

DEMOKRATYCZNY
SAVOIR VIVRE
W ODCINKACH
opracował: Jan Kamiński

ODCINEK XXV
BON-TON W KIVR
(Ciąg dalszy)

Urzędnicy i klienci

Najgorszą zarazą biuro-
w są bezwzględnie
klienci „prywatni” — tj.
ludzie, których łączy z ur-
zędnikiem towarzyska zna-
jomość z baru „Pod Sie-
pą Kiszka” lub z imieniem
u cioci Malinowskiej. Ta-
ki facet, w najgłębszym
przekonaniu, iż jest niesły-
chaniem miłym i pożądanym
gościem, nadochodzi nieucz-
nego znajomka w godzi-
nach biurowych i nadlicz-
bowych mniej więcej co
drugi dzień, najchętniej w
porze największego nasile-
nia biurowej gorączki, po-
to tylko, aby nieszczerze-
mu znajomkowi złożyć swo-
je uszanowanie („tak sobie
wpadłem, no co słychać”),
lub żeby mu zakomunikować,
że Złuta z Tolkim
już trzeci dzień chodzą ra-
zem na plażę, przy czym
żad bezwzględnie regular-
nej rozmowy towarzyskiej
ze wszystkimi szukaniami
oraz wyrazów entuzjazmu
i wdzięczności „za pamięć”
i łaskawe odwiedzin. Bła-
gam was, o znajomi, prze-
stańcie! Demokratyczny ho-
wiew savoir-vivre stanowi-
czy nie zezwala na pry-
watne wizyty w biurze.
Fe! Ani też nie zobowiązu-
je kasjera banku „Spo-
łem” do zabawiania swych
prywatnych gości plotecz-
kami między jedną wypła-
tą a drugą. O tym pamię-
tajcie, o wyż. wspomniani
znajomi w wypadku, gdy
kasjer wylazł was już po
5 minutach salonowego
szczęsotania na tzw. „Zbi-
ta morda”. Przy czym jeśli
czynności tej towarzyskiej
będą słowa „najmniejszą cię
przepraszam, ale jestem nie-
słychanie zajęty, może spotka-
my się po biurze w „O-
ronie” — będzie to ze stro-
ny urzędnika najwyższy już
wyraz nadobowiazkowej hi-
perdentelmenerii. Które to
złote zasady dotyczą rów-
nież prywatnych rozmów
telefonicznych w biurze.

Jeszcze tragiczniejszym
jest wypadek, gdy pry-
watny znajomy urzędnika
ma jakąś sprawę do załat-
wienia w tym właśnie bu-
rze... Przede wszystkim ta-
ki facet jest zdania, że pa-
nia Kazia, sprawująca w
MSZ-ie odpowiedzialną fun-
kcję jednej z 10-ciu maszy-
nistek, ma najświetniejszy ob-
owiązek załatwienia dla
swego znajomego z dancu-
gu paszportu zagraniczne-
go wraz z wizą do USA
i pozwoleniem na wywóz
nieograniczonej ilości de-
wiz. Następnie — że ma
najświetniejszy obowiązek za-
łatwienia tego „od ręki”
względnie „na poczekaniu”.
Następnie — że winna o-
kraszać paszport faceta i
jego częste wizyty z tym
związane — czarnym u-
śmiechem szczęścia i zafo-
wolenia a także rozmówka-
mi na temat „a jak się czu-
je pańska małżonka na
wczasach”. Jeśli zaś wspo-
mniana panna Kazia po-
minie któryś z wyż. wym.
momentów — lub jeśli, o
zgrozo, wprost odmówi pro-
śbie faceta, powołując się
na oczywistą niemożliwość
załatwienia sprawy w ra-
mach swych skromnych
kompetencji — facet z obu-
rzeniem zrywa z nią wszel-
kie stosunki towarzyskie,
i pozostawia, rzecz można,
na bruku złamane serce
dziewczyny. To też raz je-
szcze was blagam, o zna-
jomi, przestańcie! Nie ża-
dajcie od swych znajomych
aby byli wszechmocni! Nie
žadajcie, aby byli anielsko
cierpliwi! Nie żądajcie, aby
w biurze byli waszymi zna-
jomymi! — Czego Wam ży-
czy cały demokratyczny
bon-ton, amen.

Ciąg dalszy za tydzień

ROK I Cieplice, 31 bm. 1947 r. Nr 11



Numer zadedykowany nerwowo
chorym

CHRONICZNA GŁUCHOTA

na wszelkie zażalenia wykazuje
najsprawniej **ORBIS** w Jeleniu
[Górze].

Najpoważniejsze szanse na nagrodę
za najciekawszą książkę zażaleń
w roku 1947!

Tysiące listów z pogródkami!
016712

ZACZEŁO SIĘ

od meczów piłki nożnej Prasa-Artys-
ci, Filmowcy-Radioci, Sędziowie-
Bokserzy. Ostatnio doszło już do me-
czu Żonaci-Kawalerowie. Na naj-
bliższą przyszłość przewiduje się m.
inn. spotkania towarzyskie: Rudzi-
Wdowcy, Pielęgowaci-Malinowskowie,
Podrzućkowicie-Lysi, Mańkuci-Homo-
seksualsi, Daltoniści-Szpakowaci,
Konstypanci-Pykniocy, Hermafrodyty-
Badacze Pisma Św., Właściciele za-

KAMIENTE ŻÓŁCIOWE,

choroby wątroby, skróty kiszek, bled-
nicę, wypięki, wyrzuty, bezsen-
ność, neurastenię, mdłości, ostre
ataki szalu skutecznie wywołuje
„ORBIS”

Agencje we wszystkich miastach
Polski

Stwierdzone liczne wypadki nat-
ychmiastowej apopleksji!
014716

KLIN KLINEM

Wojna poszarpała nerwy wielu lu-
dziom. Ci ostatni w obecnym sezonie
wyjazdowym i czasowym widzieli
szanse na poratowanie swych nadwąt-
lonych nerwów. W tym celu udali się
do uzdrowisk naszych, aby tam za-
nać wreszcie spokoju i ciszy.

Uzdrowiska nasze, na leczenie ner-
wów, zgodnie zastosowały metodę je-
dynego rodzaju. Metodę: klin klinem.
Chciano uniknąć zdenerwowania! U-
rączono cię nieodrozwinnym kontaktem
z biurami „Orbisu”...

Przyjechałeś do Sopotu odpocząć
przy cichym szumie morza? Urządzo-
no ci trzydniowe wycieczki ulkowe mo-
tocykłów bez tłumika. Warkot bom-
bowców i detonacje pocisków okazały
się niewinnym szmerem w zestawie-
niu z piekielnym wyciem kilkun-
sięciu wycieczkowców...

Przeniosłeś się do Cieplic. Liczyłeś,
że największą ciszę zapewni ci pobyt
w miejscowym sanatorium.

Ale w tym sanatorium możesz spać
jednym ciągiem najwyżej przez 14
minut. Tuż przy sanatorium bowiem
znajduje się wieża kościelna, a na niej
zegar, który potężnym dzwonem wy-
bija kwadrans i godziny. Donośny
ten dzwon mechaniczny, puszczonego
w ruch przez skrupulatnych Niem-
ców, nie zepsuł się dotąd i dyndoli
nieublaganie całymi nocami, budząc
cztery razy na godzinę najzawar-
dzielszych śpiących, a co dopiero
znękanymi rekonwalescentów...

Miejscowy ksiądz, sprawujący pie-
czę nad dzwonem, nieczuły jest na
zbiorowe petycje chorych. Nie zgadza
się na unieruchomienie dzwonu. Dyn-
dolenie, to kwestia prestiżu miejsc-
owego pasterza. Dyndoli dzwony za
Niemców, niech i teraz dyndoli. Dyn-
dolenie, to oznaka władzy nad owiecz-
kami. Ze owieczki nie mogą spać?
Niech się przyzwyczają! A zresztą —
najlepsza metoda: Klin klinem!

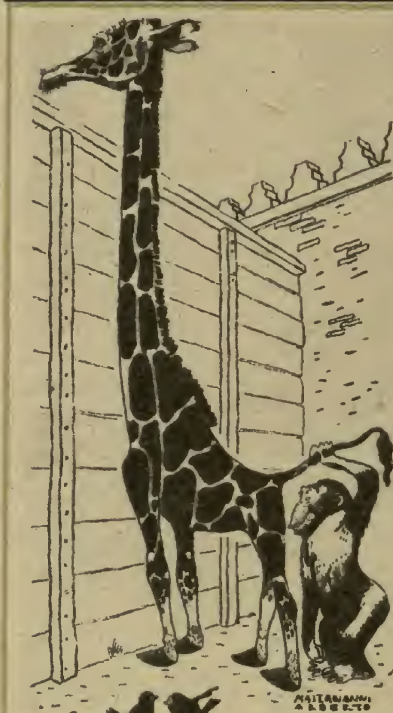
Wypadków wyleczenia w bieżącym
sezonie nie zanotowano.

Ksiądz zaleca raczej Lourdes.

WOLĘ WYRABIA

daremne wyczekiwanie w ogonku
od piątej rano na bilet w wagonie
sypialnym
Zgłoszenia: „ORBIS” Warszawa
018123

pałniczek—tancerze św. Wita, Żulaw-
scy—Biełkowscy, Kominiarze—Egzy-
stencjaliści, Starobrzędowcy—Czar-
nogłodziarze, Szpile—Hycle, Bigami-
ści—Filatelsi itp.



— Służyła jako maskotka na łodzi
podwodnej i nauczyła się używać pe-
ryskopu!
(„Travaso”)

MOTTO:

Z września, w pełni sezonu owocowego, cały świat obchodzi rocznicę Przewrotu Rajskiego, czyli zerwania przez Ewę deserowej renety lansberskiej z jabłoni 'Wiadomości Złego i Dobrego. W całym kraju odbędzie się w ramach „Dni Grzechu Pierworodnego” uroczyste obchody, akademie ku czci, oraz defilady mody jesiennej, której kilka pierwszych modeli poniżej reprodukowujemy.



376

6131



378

S-4802



6123



6119



S-4910



6129



— Nie mam się w co ubrać — rzekła Ewa, konsumując fatalne Witaminy Zakazane, poczym Adam sprawił jej pierwsze w dziejach ludzkości jesienne wdzianko. Oto (u góry) listek figowy, w który przystroiła się mecenasowa Ryńska po wygnaniu z Raju, czyli po powrocie z robotniczych wczasów w Międzyzdrojach: suknia z ciemnej wełny i luźny zakłęt, którego prawa część uszyta jest na lewą stronę

376. W jesieni suknie są coraz dłuższe a nogi coraz krótsze. Oto suknia do 1/2 tydzień z tuniką o modnej obecnie linii beczkowatej 6131. W jesieni suknie stadami odułują z Paryża do innych krajów. Oto suknia paryska, która przybyła do nas w ostatnich dniach sierpnia 378. W jesieni opadają z sukien liście i kwiaty, pozostawiając огоłocone, jednolite tło. Oto suknia z ciemnej wełny z długimi rękawami S-4802. W jesieni dojrzewają podłotki i stają się przysmakami prozonych obiadów. Oto suknia wizytowa na pierwszy występ młodej panienki 6123. W jesieni wiodną na sukniach bujne fałdy i marszczenia letnie. Oto suknia sportowa z grubszej wełny o nadzwyczaj prostym kroju 6119. W jesieni szumią ulewę też z pochmurnych kobiet, które nie mają nowej sukni. Oto idealna suknia na osuszenie tego żławego dżdżu S-4900. W jesieni serce kobiety słabo grzeje i wcale już nie opala. Wrażliwy na zimno małżonek ubiera je w ciepłą suknię z długimi rękawami 6129. W jesieni kobiety żółkną i wiodną z zazdrości, na widok nowej sukni przyjaciółki. Oto suknia, która wpędzi do grobu całe grono znajomych

KONKURS DZIAŁU MODY

Nagrodę 1000 zł
otrzymuje w
bież. tygodniu

p. DANUTA
SMIAŁOWSKA
w Warszawie.

Suknia z jedwabiu w pasy, luźne
kieszenie w po-
staci baskinki



W tygodniku
„PRZEKRÓJ”
exp:
K.J. Gatożyński

Szanowny Panie Redaktorze!
Niech Pan posłucha: „O Polkach
i Polakach”

POLKA ROMANTYCZNA

Ten gatunek, Panie Redaktorze, spotykamy nad brzegami stawów, bądź jezior. Gatunek prawą ręką częściej rozwiany włos grzebieniem z celulozdu (w poezji: złoty grzebień), a lewą w międzyczasie gra na harfle. Zajęcie: tęsknota DO, lub zamyślenie NAD ojczyzną. Strój: szata powłóczysta, czyli rap-sodyczna, we wzbaumoszonych włosach oczywiście przepisowa, niestety, gwiazda. Imiona: Eloë, Ellenai, Maryla, Laura. Polki romantyczne obrabiali na swoich artystycznych tokaniach — i nie bez skutku — panowie: Norwid, Słowacki, Jacek Malczewski i Grottiger (Artur). Obrabiali, obrabiali, obrabiali, obrabiali, obrabiali, obrabiali cały czas.

POLKA REALISTYCZNA

Na ogół kelnerka. Ale któż, pytamy się, Panie Redaktorze, w epoce niby to narastającego reportażowego realizmu opisuje we wstrząsający sposób i w mrozący krew w żylach sposób tragiczne życie kelnerki w piekle rozgrymaszonych inicjatorów prywatnych? Któż z naszych p. p. pisarzy obrabia kelnerkę? Któż jej westchnienia, któż jej tzy policzy, nie mówiąc o dochodach?

POLKA SURREALISTYCZNA

Leży. Na koldrze nierozciąty tom elegancko niejasnych wierszy Delamerdre'a, pod koldrą natomiast duży wieprzowy kotlet. Pod poduszką otwarty duży słoik z musztardą. Jedno z powiedzeń: „W całym Paryżu nie można dostać takich szpilek do włosów, jakie obecnie produkujemy w Wł-brzyyyyyyechu”.

POLAK ZWANY PRZEZ KRAJO- WYCH FAFUŁÓW I NIEDORAJ- DÓW POLAKIEM CYNICZNYM

Pracowity, co już mu mają za złe. Nie upija się i nie kluczy. Mają za złe. To, co robi, robi dobrze i na termin. Mają za złe. Jest punktualny, a wszyscy spóźniają się, albo przychodzą o dwa dni za wcześnie. Więc mają za złe. Bierze byka za rogi. Też mają za złe. Jeśli jest np. poetą, to nie opisuje własnego pepka, tylko wyrwają próchniejące zęby społeczeństwu. Znowu mają za złe. A jeżeli tenże „cyniczny” Polak jest np. kupcem, to wszystkie umowy uważa za wiążące i myli się grubo, ponieważ produkujemy jeszcze mnóstwo ludzi, którzy z lekkością szewców-cudotwórców robią z gęby cholewę. A my chcemy zrobić z gęby instrument do wiążącego porozumienia się z ludźmi. Więc mają nam za złe, mają nar. za złe, mają nam za złe. Przepraszam bardzo za kleksy, plamy od szmalcu z cebulką i nagły koniec. Świat mnie woła. Bogaty świat. Ciekawszy od „Listów z Fijolkami”. Na moje podwórce weszła orkiestra podwórzowa i gra i śpiewa pod moim adresem:

HEJZE INO, FIJOŁECKU LEŚNY,
CEMU ZEŚ SIĘ NIE ROZWINAŁ
WCEŚNIEJ?

Więc kłaniam się, Panie Redaktorze, tym muzykantom i odpowiadam im śpiewem gregoriańskim:

BO NIE DOPUSZCZALI.

P. S. A kaszki znowu nie otrzymałem.

Kochający

Karakuliambro



ZNACZKI DANII

Z okazji 100-lecia pierwszej kolei żelaznej w Danii wydano trzy pamiątkowe znaczki: 15 øre niebieskawozielony, z podobizną lokomotywy z 1847 r., 20 øre, różowy, z widokiem współczesnej pociągowej lokomotywy dalekobieżnej, oraz 40 øre ciemnoniebieski przedstawiający wagon motorowy z silnikami Diesla. Znaczki te wykonane sztychem noszą daty „1847-1947” pod nimi emblematy kolejowe a pod cyframi wartości emblemat pocztowy — trąbkę.

St. Mikstein

KOSMETYKI

KREMY
PUDRY
POMADKI
TUSZ

scala

LABORATORIUM KOSMETYCZNE * WARSZAWA

PROŻNA 14

WOLNY MYŚLICIELU!

czy prenumerujesz już

»GŁOS WOLNYCH«?

nasze pióra

Henryk Wroński

M. Skalski, M. Drzewiński i inni.

Adm. Warszawa, Krasińskiego 18, m. 139.

SPORT

Z Tatrzańskiego Raidu Motocyklowego: Punkt kontroli czasu w dolinie Morskiego Oka (po lewej) i Meta przed hotelem na Kałatówkach



(Fot. „Life”)

„Baseball” to rodzaj palanta, cieszący się w Ameryce niezwykłą popularnością. Na zdjęciu: popularny gracz Mickey Owen wybiera przed meczem odpowiedni „bat”. Pod trybuną: wypoczywający przed czekającymi ich łudami zawodnicy

JAK TO NAZWAĆ!

Powstały wątpliwości, czy nasza publiczność sportowa zachowuje się „przyzwoicie” na imprezach sportowych, czy nie. Rzecz jasna — niczego nie sposób generalizować. Są dni i imprezy, w czasie których publiczność na stadionach zdaje egzamin najwyższej dzentelmenerii i zachowania fair, a są i inne, gdy cisną się słowa b. ostre. Czy wolno ich używać w takich np. wypadkach:

1. Mecz tenisowy Polska—Anglia. Publiczność oklaskuje w sposób nieprzytomny zepsute przez Anglików piłki. Każdy bywałec trybun kortowych wie, że jest to szczyt nieaktu, jeśli nie... Kładzie się za piłki zdobyte w walce, za piłki rzeczywiste zdobyte, a nie przypadłe wskutek błędów przeciwnika.
2. Mecz bokserski w Krakowie. Jeden z widzów (notabene znany piłkarz) rzuca butelką na ring, niezadowolony z orzeczeń sędziego. Jak to nazwać?...
3. Mecz bokserski w Warszawie. Ktoś rzuca butelką w znakomitego pięściarza polskiego Szymurę, tylko dlatego, że Szymura przed chwilą znokautował najprawdopodobniej w świecie, jego faworyta. Jak to nazwać?...
4. Mecz piłkarski Warszawa—Łódź. Publiczność chce zynchować sędziego, za to, że ośmielił się sprawiedliwie sędziować. Sędzia szuka ochrony u milicji. Jak to nazwać?...
5. Mecz piłkarski Sofia—PPN. Publiczność domaga się wypuszczenia na boisko jednego z obrońców warszawskich, tylko dlatego, że „On już ich przerobił...” to znaczy będzie bił, kopał, faulował, bo jest z tego znany. Zagrać bynajmniej lepiej nie zagra, gdyż nie potrafi!... Jak to nazwać?...

I tak dalej i dalej i dalej...

(Tyr.)



ROWER

TURYSTYCZNY DLA
WSZYSTKICH
Zamówienia przyjmuje
i informacji udziela:
Biuro Sprzedaży Przemysłu Motoryzacyjnego

WARSZAWA

ul. WILLOWA Nr 13
tel. 83-107, 84-284

oraz wszystkie placówki
Zw. Gosp. Spółdz. R. P.
„S P O Ł E M”

stosuje się przy chorobach wątroby, kamieniach żółciowych, katarze żołądka i kiszek, uporczywych zaparciach, złej przemianie materii i artretyzmie. — Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych
LABOR. FIZJOL.-CHEM. „CHOLEKINAZA” WARSZAWA, MOKOTOWSKA 50



Wkrótce ukaże się:
W. SUPINSKIEGO

OD
WESTERPLATTE
DO
HIROSZIMY

Pierwsze polskie opracowanie
historii II wojny światowej
Wydawnictwo Zachodnie
Poznań

ZIOŁA „CHOLEKINAZA”
H. Niemojewskiego

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAWCA: SPÓŁDZ.
WYD. „CZYTELNIK”

REDAKCJA: KRAKÓW, PILSUDSKIEGO 19a (GODZ. 12-14) TELEFON 559-51
RED. WARSZAWSKA: DASZYŃSKIEGO 14, POK. 217 (GODZ. 13-15) TEL. 879-86
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, WIELOPOLE 1. TELEFON 545-60, -61, -62

WŁOČONO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

FILM

ZOBACZYMY WKRÓTCE:



Ritę Hayworth — jedną z siedmiu najpopularniejszych gwiazd amerykańskich ujrzymy niebawem w wielkiej rewii filmowej pt. „Modelka”, której Rita zawdzięcza karierę. (Fot. „Columbia”)



Problem dostarczania broni i żywności dla Czerwonej Armii w czasie wojny jest tematem filmu „Konwój” z Humphrey Bogart i Raymond Massey’an w rolach głównych (Fot. „M.P.E.A.”)

ŚWIETNY FILM

„Złote wrota”. Temat: tragedia ludzi bez ojczyzny, bez paszportu, uciekinierów, wygnańców, hochstaplerów, w ogóle „ludzi za burtą”. W maleńkiej, przygranicznej dziurze meksykańskiej miesiacami czeka, by Urząd Imigracyjny jakże okrutnego w tym wypadku „Wuję Sama” raczył łaskawie uchylić „Złote wrota”. Uchyli je wyjątkowo dla obywateli USA. Stąd tragiczna pogoń za obywatelstwem. Zdobyć je za wszelką cenę!

Reżyser Mitchell Leisen wykorzystał osiągnięcia francuskich filmów psychologicznych do koncepcji zdecydowanie realistycznej. Od rzucił francuski balast milczenia, mgieł, niepokojów, niedomówień — ale zastosował cały arsenał sytuacji psychologicznych. Dał warki, nieoczekiwany w rozwinięciach, tok wydarzeń dramatycznych z umiętym dozowaniem komizmu. Gra Charles Boyera i Olivii de Havilland osłabła środkami zupełnie prostymi, efekty

znakomite. Film ogląda się jednym tchem jak romans kryminalny. Polskie napisy często nieczytelne (białe na białym tle). Koż.

NIERÓWNY

„Wilki Morskie” z Filipem i Flapem mają równie wielkie wady, jak zalety. Oto one:

Wady: 1) Film trwa zaledwie 53 minuty, dzięki czemu seans zapchany jest dodatkami. Przy czwartych z kolei „aktualnościach” publiczność gwizdże. 2) Pierwsza część filmu jest tak luźno związana z drugą, że całość wygląda na zlepek z różnych filmów. 3) Druga część filmu znacznie słabsza. 4) Brak jakiegokolwiek pogłębienia czyni całą historię zupełną banalnością.

Zalety: 1) Wysokiej klasy humor abstrakcyjny. 2) Bardzo pomysłowy scenariusz pierwszej części. 3) Doskonałe tempo, szybkie podprowadzenie do point. 4) Komizm aktorski niezawodnej pary Laurer-Hardy. Wniosek: Mimo niedociągnięć warto zobaczyć.

Bracia Rojek



Ten starszy pan (trochę już z podbródkiem) — Maurice Chevalier — w stanie naturalnym, bez szminki — w chwili gdy gratuluje laureatce konkursu na najpiękniejsze dziewczę miasta Nantes (Fot. SAP)

Wiech KRÓL KARTKI POGUBIŁ...

— O czym pani tak na całą parę czytasz w tem kurierze, pani Bigosińska kochana?

— O tem młodem facecie, któren zamiaruje z angielskiego króla córką na zapowiedzie dać i w karnawale się z nią ochajtnąć.

— Nie głupi chłopina, ale faktycznie co to pani obchodzi, angielska poddana pani jesteście, czy jak?

— W dzisiejszym demokratycznym czasie kaźden o królach lubi sobie poczytać, ale czy ten facet taki znowuż cwaniak to przypuszczam że wątpię.

— W jaki sposób?

— A w taki, pani Żołądek szanowna, że na całem świecie teraz mortus i królowie takżesamo muszą się ograniczać, a już o wiele się rozchodzi o tak zwane konferencje męską czy damską, to w takiej Angli, król nie król, głupich skarpetek bez kartek nie dostanie.

— Co pani mówisz?

— To co pani słyszysz. Olek szewca Moniuszewskiego syn, w zeszłym tygodniu stamtąd wrócił i króla widział, tak jak pani mnie teraz, w ogonku po cukier! Właśnie czytam tu, że ta owa królewna żadnej wyprawy nie otrzyma. Tylko jedne sukienki i to zdaje się przerobią z mamusi.

— Ale dlaczego? Przecież nie dawno dawali nawet u nas płótno i te insze trekstyli!

Nie wiadomo, może król kartki pogubił. Bo to król, nie król wszystkie chłopcy jednakowe. Wsadzi do kieszeni kartki i nosi, aż podraż i zgubi.

— Albo może w mu w mydlarni wycieli, osiemnasty numer, przez pomyłkę. Bez osiemnastki — święty Boże nie pomoże, nie dadzą.

— Za często się mylą. Znamy takich przytomniaków. Przyjdzie sobie ta to się z nią liczą, bo wiedzą, że się nie da wykantować, ale trafi się jem mężczyzna, a Broń Boże wstawiony, zrobią go na żywca. A jeszcze taki król — zalałany jak wielkie nieszczęście — tu córkę za mąż wydaje, tu minister znowuż chce od pierwszego odejść, murzyni mu się bontują — głowe ma jak karmelickie banie, gdzie może kuponów jak się należy dopilnować?! Wycieli mu w mydlarni jak amen w pacierzu!

— W kaźdem bądź razie narażać panienki, żeby rodzina narzeczonego już przed ślubem ją obszczekiwała, że w jednej sukieneczynie za mąż idzie, się nie powinno. I zgubił król kartki, czy nie zgubił, wycieli mu kupon czy nie wycieli, te pare metry płótna na dwa, trzy prześcieradła, czy cztery podpięcia i powłóczki ma prawo dostać.

— Ale gadaj, pani Żołądek, z Anglikami, oni tylko Niemcom cholera wszystko by oddali! Ostatnią koszulę ze siebie by zdjęli, żeby się tem na jeża strzyżonem szkopom przy podchilił.

— Ale, dlaczego, moja pani Bigosińska złoćta, tak się w nich rozkochali?

— Zabij mnie pani, nie wiem. Paczki jem podobnież wysyłają, co mogą draniom podtykają, a królewna po kątach płacze, bo się boi żeby się narzeczonej nie namyslił i nie powiedział, że nie będzie się żenił w tych waronkach.

— O to strachu nie ma. Nie namyslił się. Dla samego mieszkania się zgodzi. Król ma

podobnież trzy pokoje z kuchnią, nie zagieśczone, w prencypalnym ponckie, to młodem jeden odstąpi. Inaczej ten młodziak by się tam nie dostał. Chyba że na sie przez kwaterek mogłoby mu się udać, bo to podobnież oficer.

— Nawet jakby dostał to najwyżej przechodni pokój. A to znowuż żadna przyjemność, żeby mu starsza królewna drzwi nad głową trzaskała, jakby sobie chciał troszkie dłużej pospać.

— Rzeczywiście. A tak w charakterze zięcia, większy już będzie miał głos w domu. A w swoim czasie i za króla się zostanie.

— Nie wierz pani w to. Olek Mioduszeszczak mówi, że o wiele nawet ożeni się z królewą, ona będzie rządziła, a on przy niej dudy w miech. Za tronem tylko będzie stojał i głową na wszystko kiwał. Taka podobnież w Anglii moda. Jego nikt nie słucha, śledzia mu nie skredytują, jak nie ma kartki od żony.

— No owszem nie można powiedzieć nieźle to jest rządzone. Jak się takiej królowej mąż tronkowy trafi, nie potrzebuje sama z wakiem od ciasta po barach go szukać, zatelefonuje tylko do komisariatu, a milicja w try miga do domu go dostawi.

— Faktycznie moja pani, ale znowuż z drugiej strony ile się taka kobicina sama, jak ten Samson, musi ze wszystkim nauczać. Ministri swoje, Hurchil swoje pyskuje i kaźden pretensje wnosi, a pani siedź na tronie i rządz!

Nie chciałabym pięciu minut być na jej miejscu, nie chciałabym. A najgorsze to te Indiani.

— Jakie Indiani?

— Są tam takie blade Murzyni, na Cyganów podobne. W ręcznikach chodzą. Jednego starszego mają w okularach i z kożą. Temu jak się pani mało wiela sprzeciwiś, zaraz się w mieszkaniu zamyka i jeść nie chce. Goły siedzi, dywanik na drutach robi i oświadcza, że głodową śmiercią ma życzenie umrzeć.

Wtenczas angielskie gienierałowie przychodzą do niego, zimne i gorące dania przynoszą i ze łzami w oczach proszą:

— Panie Indian, wrab pan coś, nie bądź pan taki wredny! A on nie i nie. Czasem po miesiącu bez spożycia się obywat. Przewili się Anglicy i dziwili aż razu jednego przez dziurki od klucza go podkapowali, że on po cichu koze doi i mleko na zsiadzie, pod łóżko sobie odstawia. Od tej pory przestali się niem przejmować i dali mu spokój.

I to ta królewna ma sobie z tem wszystkim radzić?

— Musi.

— I z kożą?

— I z kożą cholera.

— Bywszy na jej miejscu... a pan tu czego uważa?

Ostatnie zdanie zwrócone było do niżej podpisanego. Wypowiedziane zostało tonem tak groźnym, że wycofałem się śpiesznie i niestety nie udało mi się usłyszeć jaką radę na matrymonialne i imperialne kłopoty Anglii znalazła pani Bigosińska, przedstawicielka sektora prywatnego polskiego handlu, na bazarze Różyckiego.

Niech Anglia żałuje.

W I E C H

ZĘBY CZYŚCI NAJLEPIEJ

Pasta

DENS

WARSZAWSKIEGO LABORATORIUM CHEMICZNEGO Sp. Akc.

Jednakowo dobre

OD ROKU 1910

BUDYNIE PRZYPRAWY do CIAST ZUPY-BULION

STRÓJWAS



— No, ten to chociaż do czegoś podobny.

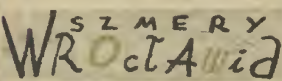


STOLECZNE SZMERY

W jednym z wydziałów Ministerstwa Spraw Zagranicznych uroczą sekretarka jednego z dygnitarzy pożywia się kromką ciemnego, kartkowego chleba, cieniutko posmarowanego masłem.

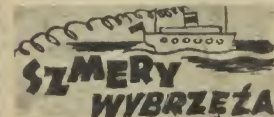
— Czemuż tak ubogo, proszę pani? — pytam.

— A tak... Białe bułeczki będą jadła... A potem przyjdą Amerykanie i zrobiają raport, że w Polsce jest żywności pod dostatkiem... Tyr.



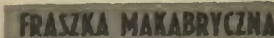
W SZMERACH WROCŁAWIA

Panoramę Racławicką miano umieścić w Hali Ludowej. Sprzeciwili się jednak temu bokserzy wrocławscy nie chcąc stracić ringu dla swoich meczów... Na Halę Ludową refleksyjnie też Film Polski, by urządzić tam polskie Hollywood. W Hali Ludowej miała również odbyć się wystawa obrazów Styki i Kossaka. A więc ponieważ jest tylu kandydatów na lokatorów Hali, więc może i lepiej, że ta największa i najpiękniejsza sala w Polsce nie będzie bez szyb i przećwieka, a Panorama... Panorama może jeszcze poczekać w skrzyni. Szeki.



SZMERY WYBRZEŻA

W ramach Targów Gdańskich spółdzielnia wydawnicza „Prasa” zorganizowała tak zwany „kiosk uczciwości” — reprodukcji w 124 numerze „Przekroju”. W kiosku tym klienci sami wybierają sobie gazety i sami uiszczaają należność. Gazety idą świetnie. Natomiast uiszczenie należności jest okryte głębokim milczeniem organizatorów, którzy niczym zbywają wszelkie pytania o wynik tego eksperymentu... MB.



FRASZKA MAKABRYCZNA

Pewien góral nieszczeniwy — Zegnaj, miły druho! — Padł w okropnej katastrofie Ofiarą wybuchu.

— Stracił biedak nogi, głowę — Wdowa się użala — Strasznie mało — ach! — wydali Mi reszty z górala! Bogdan Brzeziński



— Więc pani twierdzi, że na kogośkolwiek pani spojrzy, widzi pani królika. Jak mam to rozumieć?

ROZMAIŁOŚCI

TAKSÓWKI

Należy do dobrego tonu w Polsce wyrzekać na ewentualnych Warszawiaków, wyzyskujących jakoby swój spryt głównie dla nabijania swoich bliznich w cinku, taksówek Warszawa na główne pobila wszystkie inne miasta Polski. Spryt warszawski okazał się rzeczywistym niebywałym — gdyż potrafił zwyciężyć szoferów, co jeszcze jak wiadomo nigdy nikomu się od początku świata nie udało.

Oto co się stało w Stolicy. Szoferzy warszawscy uruchomili kilkadziesiąt taksówek. Do tych taksówek przyłączyli liczniki — czynne i dobrze działające. Uruchamiają je z początkiem jazdy, słuchając ludzi z całej Polski! — pod hajrem! — pobierając za przejazd opłatę co do grosza równą tej, jaka wykazana została przez licznik. W efekcie ceny za przejazdy samochodami są zupełnie godziwe. Z Mokotowa do śródmieścia dostać się można za 140 złotych. Jednym słowem okazało się, że jednak uczciwość w Polsce mo-

żna odbudować, jeśli się tylko chce.

Sprawa warszawskich taksówek nabiera specyficznej wymowy na tle ogólnokrajowym. Nigdzie poza Warszawą taksówki nie mają liczników i pasażerowie zaleźni są od szoferzkiego „widzi-mi-się”. Na domiar złego owe „widzi-mi-się” jest zupełnie fantastyczne. Za przejazd z Krakowa do Zakopanego PKS pobiera 580 zł, a za przejazd z Rynku Krakowskiego do redakcji „Przekroju” (1 km) szoferzy krakowskich taksówek żądają 300 złotych. I tak jest w całej Polsce. Poza Warszawą.

Akcja stołecznych szoferów ma już na terenie Warszawy jeden rezultat bardzo szkodliwy: do poziomu cen taksówek spadły też ceny „wojnyrynko-wo”, za „przejazd”, „na łepką”, w dygnitarskich autach w czasie gdy ich dostojni dysponenti urzędują lub konferują.

A może by teraz przykład dooping warszawskich taksówek obudził z letargu rajców

miejskich w innych miastach R. P., którzy poszedłszy po rozum do głowy spróbowali by i u siebie rozwiązać trudny problem cen za przejazdy autami. Trudny, gdyż — jak sądzimy! — brak jest liczników.

A może by tak nasi czytelnicy pomogli magistratowi i spróbowali nadeśłać nam swoje pomysły: jak bez liczników można rozwiązać problem rzetelnych i sprawliwych opłat za przejazdy taksówkowe?

Kto wie czy dobre odpowiedzi nie zostałyby przez nas nagrodzone?

Warszawa jeszcze raz pokazała, że na wszystko ją stać!

P. S. — W Krakowie wymyślono coś istic nadzwyczajnego w całym mieście są tylko 3 (słownie: trzy!) postoje dla taksówek, przez co cała istota tej „gałęzi komunikacji” staje się fikcją. Podobno dlatego, żeby nie konkutowali z magistrackimi tramwajami. Bravo miejskie Rajce! KO.



MISTRZ

Przed niedawnym czasem Solski jechał autem z Katowic do Krakowa. Auto stanęło w drodze, zepsuło. Mistrz sple- sząc się bardzo, strzynał kilka przejeżdżających wozów. Ponieważ jednak szoferzy chcieli bardzo drogo, bo aż 200 zł — zdecydował się w końcu na taksówkę. Mistrz przyjechał do Krakowa na tylnym siedzeniu jakiegoś motocykla. Kydr.

SOJUSZNIICY

Ilustrowany Kurier Polski podaje w niedzielę 27 lipca, że: „Do Polski przybyło 11 spośród 40 autobusów zamówionych przez Polskę dla Miejskich Zakładów Komunikacyjnych we Francji”.

Do Francji natomiast przybyło 11 spośród 40 korespondentów zaangażowanych przez Francję dla IKP w Polsce. Widocznie szły się sojusze polsko-francuskiej wymaga takiej wzajemnej wymiany usług. Tylko, że autobusy są pierwszorzędne, a wysłani do Słostrzy dziennikarze są czwartorzędni. (nadesłał „LW”)

SKRÓTY

- O. N. Z.
- P. P. S.
- D. O. K.
- S. O. S.
- C. D. H.
- P. C. K.
- P. P. R.
- P. C. H.
- Z. Z. Z.
- K. B. W.
- B. G. K.
- R. K. U.
- W. S. H.
- C. T. B.
- U. S. A.
- P. K. P.
- M. S. Z.
- K. K. O.
- N. B. P.
- P. K. O.

Proste. Co?
Łatwe. Nie?
Pan rozumie?
Bo ja nie!

KAROL SZPALSKI

SABOTAŻ

„Głos Pomorza” w numerze z 12 sierpnia br. donosi z Grudziądza, o sensacyjnym wydarzeniu:

W Urzędzie Stanu Cywilnego w czasie od 6-10 sierpnia zanotowano:

Uroczystości: biuralista Mieczysław Humiński córke; cieleś Bernard Chyliński syna; urzędnik Zygmunt Błogowski syna; urzędnik Alfred Zembrowski córke; urzędnik Witold Zieliński córke; metalowiec Leon Oszałdowski córke; robotnik Władysław Wieroszek syna; urzędnik Alojzy Sielski córke; kupiec Alojzy Nowakowski syna; urzędnik państwowy Daniel Kujawski córke; 1 urodzenie nieśl. płci żeńskiej.

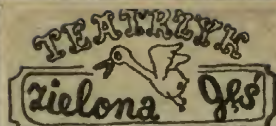
W Ameryce 1 milion dolarów ufundowany przez Rockefellera czeka dla mężczyzny, który urodzi dziecko. Zarząd miasta Grudziądza winien uzyskane w ten sposób 10 milionów dolarów użyć na budowę wleźnięć celem ukarania żon uprawiających sabotaż.

GASTRONOMICZNE NOTATKI

Na Ziemiach Odzyskanych panuje istna wleża Babel, jeśli chodzi o nazwy miejscowości, co sprawia, że bardziej przeczni używają dla pewności jeszcze starych nazw niemieckich. Jak tu jednak mówić o nazwach miejscowości, jeśli do tej pory nie nastąpiła zgoda w jeszcze ważniejszej dziedzinie — nazw gastronomicznych, a jest to jak dobrze wiemy, podstawa społecznego współżycia. Z mego notatnika podróznego przytaczam kilka ciekawych wypadków:

W Giżycku, w bardzo reklamowanej restauracji na centralnym Placu Grunwaldzkim, gdy zażądałem omletu z trzech jaj, podano mi jajecznicę... W Wałbrzychu naleśniki z konfiturami, podano mi omlet z owocami. W Malborku w restauracji Jedyne go tamtejszego hotelu, gdy zamówiłem omlet — wpiętr musiałem czekać równą godzinę, a następnie kelnerka przyszła zapytać, co to jest właściwie omlet i jak się to robi? Ponieważ również nie znalazłem przepisu, musiałem zjeść bułkę z szynką. W Legionie, gdy poprosiłem na śniadanie o dwa jajka w szklance dostalem... surówkę! W Opolu, gdy z karty wybrałem „chłodnik litewski” przyniesiono mi „zwykłą zimną zupę owocową z grzan- kami i keiner był oburzony, gdy mu zwracał uwagę, że to nie to samo. W Wrocławiu, w dużej restauracji nieopodal dworca — kotel de Volaille okazał się zwykłym sznycel- em owiniętym nierzgrabnie dokoła jakiejś kości. W Olsztynie na próbę o befsztyk angielski dostalem kotlet siekany i podająca Dulcinea była bardzo zdziwiona, gdy zaoponowała...

Panowie z Wysockiej Komisji Nazwownictwa na Ziemiach Odzyskanych! — pomyślcie o menu w restauracjach. Koż.



ma zaszczyt przedstawić „MYSIKROLIKA”

Jest to siódma postać NAJMNIJSZEGO TEATRU ŚWIATA, czyli najmniejszego teatru w Polsce. Kontrakt z Mysikrolikiem podpisał w Krynicy, na razie wyłącznie na piosenki.

Oto pierwsza piosenka Mysikrolika w dwie minuty po podpisaniu kontraktu, ułożona przez wdzięczność i współczucie dla Autora:

„SERCE POETY”

Wszczęświatowy przebój TEATRU ZIELONA GŁÓW w wykonaniu słynnego **MYSIKROLIKA**

(Wszystkie prawa zastrzeżone! Copyright by „Przekrój” 1947)

UWAGA! KOBIECY UBRA- NIE DO POŁOWY PŁACA POŁOWE!

Mysikrolik: (śpiewa sentymentalnie na melodii tangi „Gdzie twoje serce i gdzie miłość jest twoja...”)

Serce poety (ono pisze jak Mok. *) ale niestety czasem pisze ad hoc. Życie przemija, od pisania boli szyja. Serce poety jest jak stary szlafrok. (szmerek, oszołomienie, wleża brawko) Kurylna K. I. Gałczyński

*) Mok. — skrót od nazwiska Moknandotrybo- wicza, niesłychanie pldnego pisarza XVIII w. UW. AUT.



— Czy długo czekasz kochanie?

BRITYJSKA POTĘGA

„Dziennik Zachodni” w związku z powstaniem Pakistanu i Hindustanu donosi w dn. 16 sierpnia br.:

„Z wielu krajów nadeszły depesze gratulacyjne... Podobne nadeszły ze strony rządów Stanów Zjednoczonych, Francji, Chin i innych dominów brytyjskich”.

Dobrze im tak. Po co USA pcha się ze swoją polityką do Europy. Oto skutki, 12. p. Marshall zapomniął przysłowa: „Nie wtykać palca gdzie ci nie miło, nie rób Eurolpe między drzewi!” (nadesłała M. Lucerska)

Z ostatniej chwili: (gołąbkami pocztowym z powodu braku telefonu)

Min. Poczty i Telegrafów Józef Putek ujawnił, iż w pierwszym półroczu r. b. wybudowano 9.600 km międzymiastowych przewodów telefonicznych, 32.000 km żył kablowych. Zainstalowano i uruchomiono centrale telefoniczne na 21.400 numerów. Uruchomiono bezpośrednie połączenia telefoniczne Warszawy ze Sztokholmem, Kopenhagą, Londynem, Paryżem, Brukselą, Amsterdamem, Pragą, Czechą, oraz Krakowa z Bnrem. Posiadamy 20 bezpośrednich połączeń telefonicznych z zagranicą, 7 telegraficznych i 17 radiowych. Stan abonentów wynosi 127.000 wobec 225.000 w roku 1938.

Brawo! naprawdę brawo! Tylko — Panie Ministrze! — kiedyż Dyrekcja Telefonów uwzględni podanie naszego redaktora warszawskiego o telefon, by mógł z redakcją krakowską porozumieć się szybko i stałe! Czekamy już z lata!